

30 dni
Nr 2 (46) 9 zł
MARZEC
KWIETEN 2008 (w tym 7% VAT)
BIRMINGHAM
INDEX 347566 ISSN 1506-6487

2x 30 dni

GDAŃSK • GDYNIA • Sopot • POMORZE

BATORY
pod Gdańskiem

Pelplińska Biblia Gutenberga



„30 Dni” – dwumiesięcznik, pomagający lepiej poznać i bardziej pokochać Gdańsk, Sopot, Gdynię i Pomorze Gdańskie



Numery archiwalne „30 Dni” do nabycia w siedzibie redakcji • Gdańsk, ul. Szeroka 121/122

Życzenia radosnych i miłych

Świąt Wielkanocnych

w prawdziwie wiosennym nastroju,

smacznego jajka

i mokrego Dyngusa

składają Kupcy z

SIECI

34
100% kapitału polskiego

*Niech nadchodzące
Święta będą
czasem radości
i nadziei*



FOTO MACIEJ KOSYCH / KEP



Prezydent Klaus nad Mottawą

Ostatnio głowy państw coraz rzadziej odwiedzają Wybrzeże. Jednak 4 lutego odwiedził Gdańsk nowy czeski prezydent Vaclav Klaus. W towarzystwie wojewody Jana Krzysztofa Kurylczyka złożył kwiaty pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców. W Zielonej Bramie rozmawiał z Lechem Wałęsą. Podejmowano go lunchem w Dworze Artusa.

Czeski prezydent wyrażał zainteresowanie budową autostrady z północy na południe, co mogłoby ożywić turystykę i gospodarkę na linii Polska-Czechy. Zwiedził Bazylikę Mariacką, a na koniec popłynął z prezydentem Adamowiczem i wojewodą na Westerplatte, gdzie pod pomnikiem złożył wiązanek kwiatów. Odegrano też hymny narodowe obu państw.

Dziennikarze informowali, że wszyscy gdańscy rozmówcy Vaclava Klause namawiali go, by przyjechał nad Bałtyk na wakacje.

FOTO MACIEJ KOSYCH / KEP



FOTO MACIEJ KOSYCH / KEP



Gwiazda Morza

numer jubileuszowy



Cooperatores simus veritatis!
Wspólnie pracujemy dla prawdy! 1/3
Credite Evangelio!
Wierźcie w Ewangelię! 1/15

Pięćsetna „Gwiazda Morza”

gdańskiego dwutygodnika katolickiego i wyraźnie zarysował skalę zmian, które przeszło pismo w zmieniających się czasach.

Gazetę powołał do życia biskup Lech Kaczmarek, ale ówczesnej zgody władz na jej wydawanie nie byłoby bez żmudnych i trudnych zabiegów obecnego arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego. „Był czas – wspomina arcybiskup Gocłowski na łamach jubileuszowego numeru – że Ojciec Święty cytował »Gwiazdę Morza« jako tytuł, który obiektywnie ukazywał polską rzeczywistość”. I dalej: „Formuła piśma zmieniała się i nadal redakcja poszukuje najlepszego wyrazu. Trzeba pochylić się nad lekturą dwudziestu tomów, a będzie to studium historii Kościoła w Polsce w minionym dwudziestolecu”.

„Gwiazda Morza” (podlegała cenzurze państwowej) była otwarta dla tych, którzy nie chcieli lub nie mogli publikować w oficjalnej prasie. Można nawet powiedzieć, że w nieformalny sposób była trybuną solidarnościowej opozycji. Kiedy po 1989 roku rynek mediów w Polsce uzyskał swobodę działania, a autorzy wolność wypowiedzi, dwutygodnik w większej mierze skupił się na swych naturalnych zadaniach: kształtowaniu postaw religijno-moralnych czytelników i obszernym informowaniu, czym żyje Kościół w Polsce i na świecie.

Również w lutym redakcja „Gwiazdy Morza” uhonorowana została doroczną nagrodą Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy za rok 2002.

Gibsone

Przed stu pięćdziesięciu laty, 29 kwietnia 1853 roku zmarł w Gdańsku Aleksander Gibsone, jeden z wybitnych przedstawicieli szkockiej rodziny kupieckiej, która osiadła w Gdańsku na początku XVII wieku, a której członkowie przez wiele dziesięcioleci byli angielskimi rezydentami nad Motławą.

Historycy odnotowują kilku przedstawicieli tej rodziny. Archibald (zmarły w 1790 roku) uczestniczył w obsłudze i spłacie pożyczek, które Gdańsk zaciągał w związku z oblężeniem w 1734 roku. Był członkiem ośmioosobowego „Kolegium prześwietnego, uprawiającego handel morski kupiectwa”, gdzie zabiegał o utworzenie w Gdańsku kasy zajmującej się wykupem marynarzy z rąk piratów.

Inny Gibsone, Aleksander zmarły w 1811 roku, był właścicielem wejherowsko-rzucewskich dóbr ziemskich, a w czasie oblężenia Gdańska w 1807 roku organizował telegraf optyczny, który umożliwił (za pomocą flag oznaczających konkretne litery) komunikowanie się oblężonych z twierdzą Wisłoujście.

Wspominany dziś Aleksander był właścicielem dużej, jak na owe czasy, firmy armatorsko-handlowej. Wspólnie z J. W. Klawitterem zainicjował żeglugę parową w Gdańsku. Ich pierwsze bocznokotłowe parowe pływały po porcie i w dolnym odcinku Wisły.

Aleksander Gibsone był honorowym konsulem Anglii w Gdańsku. Przez wiele lat zasiadał w Radzie Miasta, a w latach 1842-1846 był jej przewodniczącym. W chwili śmierci miał pięćdziesiąt pięć lat.

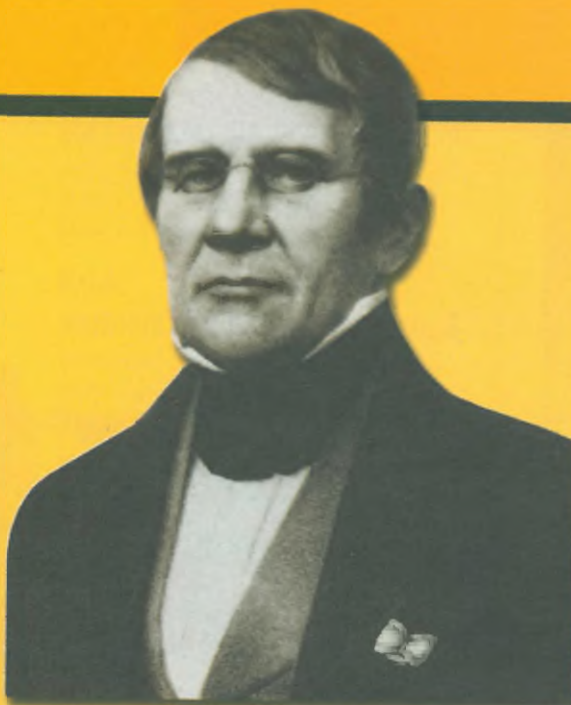
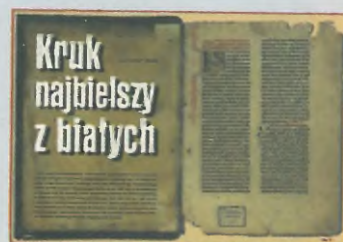


FOTO: B&B PANA

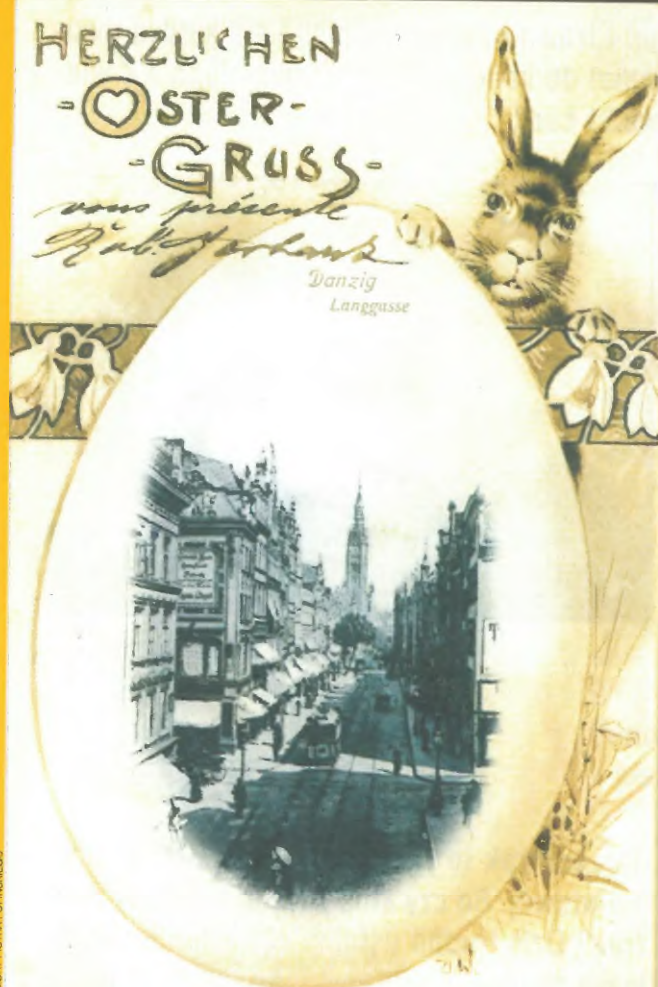


Burzliwym losom podlegają nie tylko ludzie, ale też rzeczy. Historia, zwłaszcza wojenna, Biblii Gutenberga, którą prawie od dwóch stuleci szczyty się Pelplin, jest tego doskonałym przykładem. Była wywożona, przewożona, deponowana i chroniona w wielu miastach i krajach, a na tej kanwie można napisać całkiem wartki scenariusz sensacyjnego filmu. I dałoby się w nim zmieścić wiele dramatycznych epizodów. Najpierw, na miesiąc przed wybuchem wojny, wywiezienie z zagrożonego Pelplina, dalej nie do końca jasną drogą do Francji, potem szaleńczą szarżę bagażówką, by zdążyć na statek, który odpłynie z Bordeaux na kilka godzin przed tym, nim na port spadną niemieckie bomby.

Ale dzięki całej sztafecie ludzi, Księga wylądowała wreszcie w bezpiecznej wówczas Kanadzie. Jednak po wojnie jej powrót nie był łatwy. Choć okoliczności nie były już tak dramatyczne, względy polityczno-ustrojowe spowodowały, że Biblia ponownie znalazła się w Pelplinie dopiero kilkanaście lat po zakończeniu wojny. A cała ta operacja wymagała wielu zabiegów dyplomatycznych, a nawet interwencji prymasa Wyszyńskiego.

Wielkie dzieła sztuki i kultury zawsze są łakomym kąskiem w burzliwych czasach. Był nim przecież i „Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga i wiele gdańskich i pomorskich zabytków. Część z nich szczęśliwie powróciła, część zaginęła lub uległa zniszczeniu, a niektóre odnajdują się niekiedy w zagranicznych, a czasem polskich, muzeach i antykwariatach. W ostatnich latach kilkakrotnie mieliśmy do czynienia z takimi sytuacjami.

Grzegorz Fortuna



Pocztówka z Długą i zajaczką

Okazuje się, że pocztówki świąteczne, w tym wypadku wysyłane na Wielkanoc, nie zawsze były wypełnione motywami religijnymi. I nie dotyczy to tylko okresu realnego socjalizmu, kiedy na kartach pocztowych dominowały pisanki i zajaczki.

Pocztówka, którą przedstawiamy jest pocztówką wielkanocną sprzed ponad wieku (ze zbiorów Piotra Popińskiego). Jej głównym elementem graficznym jest widok ulicy Długiej od strony Złotej Bramy, wkomponowany w owal jajka. Secesyjny motyw i zajaczek, a także nadruk z serdecznymi życzeniami wielkanocnymi, nadają jej świąteczny charakter.

Takie okolicznościowe pocztówki wydawała firma Dr. Trenkler Co. z Lipska.



FOTO: ZBIORY PRYWNE

24 Promenada nad kanałem

Aż trudno uwierzyć, że na tym wąskim, zarośniętym drzewami i trawą nasypie mieściła się kiedyś dwupasmowa jezdnia, jeździły miejskie autobusy i tramwaje. Niemal do końca lat sześćdziesiątych XX wieku prowadziła tędy główna trasa wylotowa na Bydgoszcz, Toruń i Łódź.



FOTO: Die Kunst im Deutschen Reich

46 Pod Dworem Artusa

Na zdjęciach z lat czterdziestych XX wieku, możemy obejrzeć wnętrza zmodernizowanej i rozbudowanej restauracji „Ratskeller”, która mieściła się pod Dworem Artusa. Jej przebudowę przeprowadzono w latach trzydziestych.



FOTO: ZBIORY WESŁAWA BRZOSKOWSKIEGO

54 Wiatrak na kółkach

Ten wiatrak to twór niepowtarzalny w skali światowej. Bo czy ktoś widział jeżdżący wiatrak? Dziś trudno ustalić, czy Franciszek Kiwacz zbudował śrutownik czy młyn. A może napędzaną wiatrem młockarnię?

30 dni PROPONUJE

30dni

Gdańsk, Gdynia, Sopot i Pomorze

Dwumiesięcznik ilustrowany – magazyn pomagający
lepiej poznać i bardziej pokochać
Gdańsk, Gdynię, Sopot i Pomorze Gdańskie

Nr 2 (46)

Marzec / Kwiecień 2003

Wydawca: „Millennium Media” Sp. z o.o.

Adres Redakcji i Wydawcy:

ul. Szeroka 121/122, 80-835 Gdańsk

Telefon i fax: (0-58) 301 61 34

e-mail: 30dni@use.pl

Prezes Zarządu i Redaktor:

Grzegorz Fortuna

Layout:

Mikołaj Rączkowski, Jarosław Szopiński

Opracowanie graficzne:

Małgorzata Pułtyn

Zespół i współpracownicy:

Mieczysław Abramowicz, Waldemar Borzestowski

Tadeusz Głuszko, Piotr Michalski,

Projekt redakcyjny i wydawniczy numeru:

Lech Parell, Grzegorz Fortuna, Wojciech Duda i inni

Fotografie:

Stawomir Pułtyn, Agencja Kosycarz Foto Press

Maciej Kosycarz – Wojtek Jakubowski

Archiwa:

Biblioteka Gdańska PAN, Archiwum Państwowe w Gdańsku,

Muzeum Narodowe Gdańsk, Muzeum Historyczne Miasta Gdańska

i zbiory prywatne

Reprodukcje zdjęć:

Andrzej Kolecki

Naświetlanie:

DualArt Sp. z o.o. w Gdańsku

Druk:

Stella Maris, Gdańsk

Reklama:

Prosimy o kontakt z wydawcą tel. 301-61-34.

Prenumerata:

zamówienia przyjmuje wydawca.

Opłatę (3 numery – 27 zł, rok – 54 zł) należy wpłacać na konto:

Millennium Media Sp. z o.o.

NORDEA BANK POLSKA S.A. 09-14401097-0000-0000-0032-0797

Wysyłkę rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dacie wpłaty.

Numery archiwalne do nabycia redakcji

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych.

Zastrzega sobie prawo skracania i adiacji tekstów,

a także zmiany ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczonych reklam i ogłoszeń.

ISSN 1506-6487

Partnerem tego wydania miesięcznika 30 dni jest

PROKOM
SOFTWARE S.A.

Na rozgrzewkę 4

Klaus w Gdańsku, Pięćsetna
„Gwiazda Morza”, Gibsons,
Dawna świąteczna pocztówka.

Kruk najbielszy z białych 8

Opowieść o losach pelplińskiej
Biblii Gutenberga.

Tadeusz T. Głuszko

Wyjątkowa Kalwaria 19

Kompanie pielgrzymkowe,
które przychodzą na Kalwarię
Wejherowską, wyróżnia pewien
zwyczaj zupełnie nieznany gdzie
indziej na świecie. Nazywa się
go pokłonami albo tańcem
feretronów. Istotnie, dla
obserwatora niezaznajomionego
z tym rytym ma on w sobie
coś z zamasztych uklonów
czy szalonego tańca
świętych obrazów.

Tymoteusz Jankowski



FOTO: ZBIORY BERNARDA PUPICZA

Promenada nad kanałem 24

Sławomir Kościelak

Panorama z Grodziska .. 33

Ta panorama stanowi zapewne
ciekawe uzupełnienie innej,
którą pokazaliśmy w ubiegłym
roku, w numerze lipcowo-
sierpniowym. Wykonana
została z Grodziska i znów
umiejętnie skomponowana.
Oba te zdjęcia zdają się
świadczyc o sporej fascynacji
ówczesnych gdańszczan
nowym miastem, które wyrastało
na ich oczach i od zachodu
zaczęło otaczać dawne,
stare centrum.

Grzegorz Fortuna

Panorama Gdańska z początku XX wieku 35

Publikujemy powiększoną
do czterech stron panoramę
wykonaną z Grodziska,
a opublikowaną przez
wydawnictwo Trenkler z Lipska.

Czarownice nad Gdańskiem 41



FOTO: BG PAN

Choć Gdańsk nie przeżył
tak charakterystycznego
dla zachodniej Europy
polowania na czarownice,
to na przestrzeni XVI-XVII
wieku skazano tu
za przestępstwa
„przeciw Bogu i religii”
dwadzieścia osób,
w tym trzynaście na śmierć
przez spalenie na stosie
(często po wcześniejszym
ścięciu). Biorąc pod uwagę
ogólną liczbę wykroczeń
ukaranych śmiercią w tym
czasie (621 przypadków),
tego typu przestępstwa
należały do stosunkowo
rzadkich.

Dawid Reizner

Pod Dworem Artusa 46

Rozmaitości 54

Wiatrak na kółkach 54

Tadeusz T. Głuszko

Galeria 57

Młyn w Mikoszewie na rysunku Gustava Pfahla 57

Wojna miasta z królem .. 58

Rada stanowczo
odmówiła złożenia przysięgi.
Jej przedstawiciele buńczucznie
zapowiedzieli, że król wcześniej
musiałby potwierdzić wszystkie
przywileje i wolności miasta.
Był to jawny akt rebelii.
Batory zareagował natychmiast.
15 września wezwał miasto
w osobach burgrabiego,
burmistrzów, rajców, ławników
oraz stu mężów z Trzeciego
Ordynku przed swój sąd do
Malborka. Postawiono im zarzut
obrazy królewskiego majestatu.

Waldemar Borzestowski

Listy 68

Wydawnictwa 70

Na okładce:

Kawiarnia w domu towarowym Sternfel-
da na rogu ulicy Długiej i Tkackiej,
1932, zbiory Krzysztofa Gryndera,
pocztówka kolorowana komputerowo.

Kruk najbielszy z białych

Tekst: Tadeusz T. Głuszko

Zdjęcia i ilustracje:

Wydawnictwo Bernardinum

Czym zasłynął Johannes Gutenberg? Przede wszystkim przystosowaniem techniki druku do potrzeb wydawniczych oraz wytłoczeniem najłynniejszej drukowanej księgi świata, tzw. Biblii 42-wierszowej. A czym zasłynął Pelplin? Od dobrych stu lat słynie Biblią Gutenberga. Najświętsza Księga Kościoła opuściła drukarnię w Moguncji przypuszczalnie w latach 1452-1455, w dwutomowej edycji i nakładzie około 180 kompletów. Dziwną nazwę nadali jej naukowcy dla odróżnienia od późniejszej Biblii 36-wierszowej, wydrukowanej przez Gutenberga około 1458-1460 roku – była mniejsza i skromniejsza, a każdą stronicę pokrywało 36 linijek tekstu. Spośród całego nakładu Biblii 42-wierszowej zachowało się na świecie zaledwie 48 kompletów, reszta to pojedyncze tomy i luźne kartki. Niewiele brakowało, a jedyną w Polsce 42-wierszową Biblię Gutenberga, będącą własnością biblioteki Seminarium Duchownego w Pelplinie, mogliśmy stracić na zawsze.

*Incipit epistola sancti iheronimi ad
paulinum presbiterum de omnibus
diuine historie libris. capitulu pmi.*

Hacer ambrosius
tua michi munus-
cula pferens. derulit
lit et suauissimas
lras. q a principio
amiciciaz. hie pba-
re iam fidei et veteris amicitie noua:
pferbant. Vera eni illa necessitudo e.
et xpi glutino copulata. qm non valli-
tas rei familiaris. no pnia tantum
corpor. no sbdola et palpas adula-
sed dei timor. et diuinay scripturarū
studia conciliant. Legim⁹ in veteribz
historijs. quosdā lustrasse puindas.
nouos adisse plos. maria trāsisse.
ut eos quos se libris nouerant. corā
q videret. Sicut pitagoras memphi-
ticos vates. sic plato egiptū. et archita-
tarentinū. eandemq oram ytalie. que
quondā magna grecia dicebat. labo-
riolissime peraguit. et ut qui athenis
mgt erat. et potens. auiusq doctrinas
achademie gignalia psonabāt. fieret
pignus atq discipulus. males aliena
recede discere. qm sua ipudent ingerē.
Deniq cū lras quasi toto orbe fugien-
tes psequit. capto a piratis et venūda-
tus. tyrano crudelissimo paruit. dud⁹
captiuus vinct⁹ et seruus. Tamē quia
phus maior emente se hūc. ad tyrum
liuiū. ladeo eloquēcie fonte manantē.
de vltimis hispanie galliarūq finibz.
quosdā venisse nobiles legimus. et
quos ad contemplationē suū roma nō
traxerat. vni⁹ hois fama pduxit. Ma-
buit illa etas inauditiū ōnibz seculis.
celebrandūq miraculū. ut urbē tantā

ingressi aliud extra urbem querebant.
Apolloni⁹ fuit ille mag⁹ ut vulgus
loquitur. fuit phus. ut pitagorici tra-
dunt. intravit plas. pssunt caucasi.
albano. scythas. massagetas. opulē-
tissima indie regna penetravit. et ad
extremum latissimo phylon ampie
rissimū puenit ad bragmanas. ut
hyarcam in throno sedente auro et de
caucali fonte potantem. inter paucos
discipulos. de natura. de moribz. ac de
cursu diez et sodes audiret docentem.
Unde p elamitas. babilonios. chalde-
os. medos. assyrios. parthos. syros.
phenices. arabes. palestinos. rursus
ad alexandriā. petegit ad ethiopiā.
ut gignolophistas et famolissimam
solis mensam videret in sabulo. In-
uenit ille vir ubiq q disceret. et semp
proficiēs. semp se melior fieret. Scrip-
sit super hoc plenissime octo volumi-
nibus. phylotratus. *capitulu ii.*

Quid loquar de secti hominibz.
cū apus paulus. vas electōis.
et magister gentiū. qui de consuetudine
cāi i se hospitiis loquebat. dices. An
reperimētū queris eius qui in me
loquit xpc. Post damascū arabiāq
lustratā. ascendit iherosolimā ut videret
petrū et māsit apud eū diebz quindē.
Hoc eni mltio ebdomadis et octo-
adie. fuit⁹ gentiū pdicator instauran-
dus erat. Quēq post ānos quor-
decim assumpto barnaba et tyro. repro-
luit cū apus euāgelii. ne forte in va-
cium curaret aut curuisset. Habet
nescio qd latentis energie. vnde vobis
adus. et in aures discipuli de auditoris
ore transfusa. forius sonāt. Unde et
eschineus cū rodi regularet. et legatur



Pierwsza karta tomu pierwszego Biblii Gu-
tenberga zawiera początek listu św. Hiero-
nima do kapłana Paulina. U dołu przyklejo-
ny exlibris biblioteki seminaryjnej



Johannes Gutenberg (ok. 1400-1468) urodził się w Moguncji w rodzinie patrycjuszowskiej. W tym mieście przemieszczał oraz przepracował większą część życia. Przypuszcza się, że w latach nauki ręcznie kopiował księgi. Zanim został drukarzem, zajmował się między innymi szlifierstwem. Jakkolwiek druk z wykorzystaniem ruchomych czcionek stosowano we wschodniej Azji przed Gutenbergiem, właśnie jego uznaje się za ojca sztuki drukarskiej, bo pierwszy skonstruował prasę drukarską oraz wprowadził do tłoczenia ksiąg wymienne czcionki, które odlewał wypracowaną przez siebie techniką. Opracował również dokonywanie składu. Nad wynalazkiem druku pracował długie lata w wielkiej tajemnicy. Był też człowiekiem interesu. Zajmował się między innymi produkcją dużych serii specjalnych lusterek dla pielgrzymów, którzy co siedem lat masowo wędrowali z Moguncji i okolic do Akwizgranu. Udzielał odpłatnej nauki szlifowania drogich kamieni. Działalność kierował głównie na zdobycie wielkich sum, niezbędnych do doskonalenia kosztownej techniki druku. Kiedy zebrał wystarczające fundusze (część wyłożył jego wspólnik – złotnik, bogaty finansista i księgarz zarazem – Johann Fust), wydał drukiem znane dotąd tylko w rękopiśmiennych kopiach Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Była to dwutomowa Biblia 42-wierszowa w obowiązującym tłumaczeniu św. Hieronima, tzw. Wulgata oraz późniejsza Biblia 36-wierszowa. Swoim odkryciem nie tylko zrewolucjonizował technikę druku, ale też otworzył zupełnie nowy dostęp do wiedzy, którego znaczenie cywilizacyjne można porównywać do zejścia naszych przodków z drzew.

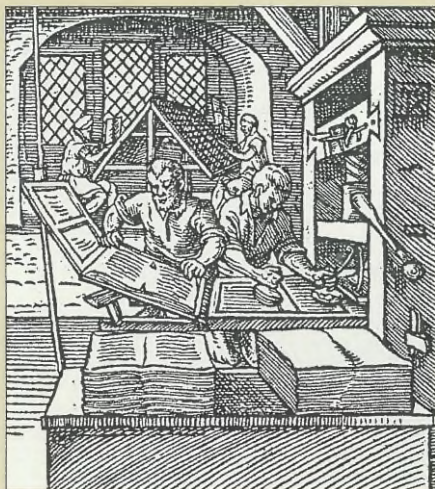
PIERWSZE, CHOCIAŻ NIE NAJPIERWSZE

Chociaż „najbielszy z białych kruków”, jak w Pelplinie nazywają Biblię Gutenberga, należy do najstarszych drukowanych ksiąg na świecie, nie plasuje się pośród druków absolutnie najdawniejszych. Zanim Gutenberg zaczął odlewać czcionki do swojego najsłynniejszego dzieła, jego oficynę opuściły już takie pozycje, jak

„Księga Sybilli”, kalendarze astronomiczne, listy odpustowe oraz niezwykle popularna gramatyka łacińska „Ars minor” Aeliusa Donata. Druki sprzedawały się dobrze między innymi dlatego, że ich ceny korzystnie konkurowały z cenami kopii rękopiśmiennych. Do tego czytało się je wygodnie, dzięki równo biegnącym literom, które charakteryzowała wyrazista głęboka czerń.

ANONIMOWE

Słynne Biblie 42-wierszowe drukował Gutenberg na pergaminie oraz papierze czerpanym. Pierwsze były wymyślniej ozdobione i droższe, drugie skromniejsze, za to tańsze. Do tych ostatnich należy Biblia z Pelplina. Przypuszcza się, że pergaminowy egzemplarz zakupiony wprost w drukarni mógł kosztować około 90 guldenów, a papierowy 40. Gutenberg nie opiewał swoich dzieł ani nie zsywał. Tomy nie posiadały też karty tytułowej i umieszczanego później na końcu ksiąg tzw. kolofonu z adresem wydawcy. Były drukami niejako anonimowymi, co nie przeszkadza, że są bezbłędnie rozpoznawane jako dzieła wynalazcy druku z Moguncji. Dodajmy, że „tańsze” Biblie Gutenberg wytłoczył na bardzo dobrym papierze sprowadzonym z Piemontu.

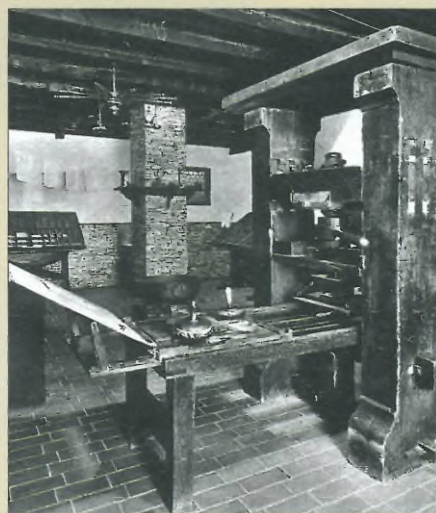


Drukarz. Drzeworyt Josta Ammana z 1568 roku

PRASA DUKARSKA

Prasę drukarską skonstruował Gutenberg opierając się na podobnych rozwiązaniach stosowanych do zaciskania oprawionych książek czy do tłoczenia soku z winogron, prasowania papieru itd. Drukarską prasę tworzyła drewniana konstrukcja przytwierdzona do podłogi i sufitu, w której Gutenberg pionowo umieścił nagwintowany wał obracany przez drukarzy tzw. drągiem. Obracając wałem drukarz podnosił albo opuszczał tłok, którego rozmiary odpowiadały połowie arkusza papieru czyli jednej

stronie druku. Pod tłokiem znajdowało się miejsce dla wózka, na którym wwożono matrycę z czcionkami zaczerpniętymi farbą i nakrytą odpowiednio przypiętym arkuszem papieru lub pergaminu. Wielkość matrycy była dostosowana do strony druku. Po zadrukowaniu jednej strony papier suszono cały dzień. Na arkuszach o formacie in folio mieściły się cztery strony druku. Pełne zadrukowanie takiego arkusza wymagało czterech dni. Prasę obsługiwało dwóch drukarzy.



Rekonstrukcja warsztatu drukarskiego Gutenberga, muzeum w Moguncji

KTO, KIEDY, ZA ILE

Zanim Biblia trafiła do Pelplina, około 1455 roku została oprawiona w Lubece, skąd odbyła długą podróż do opactwa bernardynów w Lubawie (niem. Loebau), ufundowana tamtejszym zakonnikom przypuszczalnie przez biskupa chełmińskiego Mikołaja Chrapickiego (1496-1508), który cieszył się sławą wielkiego humanisty i miłośnika ksiąg. Ale mogła też trafić z księgozbiorem rodowitego lubawianina Krzysztofa Kuppenera (1466-1519), który po studiach w Lipsku i Bolonii dorobił się pokaźnego majątku, a wszystkie swoje księgi zapisał bernardynom z Lubawy.

Zakonników nie byłoby stać na ten zakup. Do kwoty 40 guldenów należnych Gutenbergowi za sam zadrukowany papier dochodziły koszty oprawy oraz osobno opłacana praca tzw. rubrykatorów, którzy według załączonej drukowanej instrukcji zdobili wszystkie egzemplarze dopisując odręcznie



Oryginalna XV-wieczna oprawa obciągnięta czerwoną skórą, przypuszczalnie kozią. U góry i u dołu pierwszego tomu poprzeczne pasy z pieczęcią introligatora Heinricha Costera

czerwone numery rozdziałów i nagłówków, wykonywali inicjały oraz przyozdabiali dzieło skromnymi iluminacjami.

Początkowo Gutenberg sam wykonywał czerwone dodruki, co przy ówczesnej technice nie było łatwe. W końcu uznał, że pewniej i taniej będzie oddać to w ręce rubrykatorów.

POMYLKA?

Po kasacji lubawskiego zakonu, która z nakazu władz pruskich nastąpiła w 1821 roku, większą część klasztornej księgozbioru rozdysponowano do bibliotek państwowych, reszta z jednym z najcenniejszych na świecie białych kruków dotarła w 1833 roku do biblioteki Seminarium Duchownego w Pelplinie. Tu dwutomowe dzieło skatalogowano w różnych działach jako odrębne pozycje. Pierwszy tom jako księgę patrystyczną „S. Hieronimi Epistola ad Paulinum de omnibus divinae historiae libris” (za tytuł dzieła przyjęto występujący na samym początku księgi nagłówki dopisany przez rubrykatora). Drugi trafił do działu egzegetycznego jako „Biblia ss. Pars II (con. VT. a prov. Salom usque ad libros Machab et N. Test.)”. Przypuszcza się, że w seminaryjnej bibliotece nie rozpoznano „Gutenberg’a”. Nie można jednak wykluczyć, że pomyłkę sprokurowano dla zmylenia władz pruskich, obawiając się utraty wyjątkowego starodruku.

DYREKTOR SCHWENKE

Doktor Paul Schwenke dyrektorował w 1897 roku biblioteczni uniwersyteckiej w Królewcu. Był przede wszystkim naukowcem i dlatego nie zaniedbywał prac badawczych. Z dużym zaangażowaniem prowadził systematyczne studia nad najstarszymi inkunabulami ze szczególnym uwzględnieniem dzieł Gutenberga. Przewędrował wzdłuż i wszerz prawie całe Prusy, by osobiście przeglądać tamtejsze księgozbiory. We wspomnianym roku zawitał do biblioteki w Pelplinie, gdzie natknął się na dwa inkunabuly skatalogowane w odrębnych działach. Już podczas wstępnych oględzin dostrzegł identyczne oprawy, jednakowy format i taki sam krój czcionek.

To doktor Schwenke zerwał zaslonę skrywającą przed światem pelplińskie arcydzieło. On stwierdził,

że w drugim tomie brakuje ostatniej karty z końcowymi rozdziałami Apokalipsy wg świętego Jana oraz ogłosił imię i nazwisko introligatora, Heinricha Costera (zm. ok. 1500 roku), który oprował obydwie tomy.

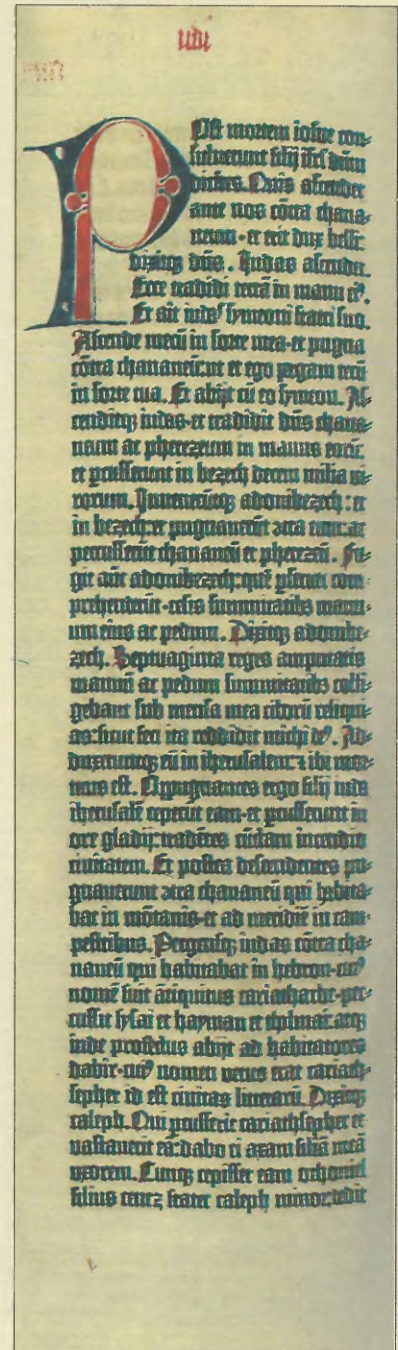
W latach 1899-1900 Schwenke badał pelplińską Biblię w Bibliotece Królewskiej w Berlinie, dokąd awansował, obejmując tam również stanowisko dyrektora. Podczas studiów berlińskich opierał się przypuszczalnie na obserwacjach poczynionych w Pelplinie w roku 1897, nie wiadomo bowiem, żeby Biblia opuszczała w tamtym czasie seminaryjną bibliotekę. W pracy, którą ogłosił w 500. rocznicę urodzin wynalazcy druku, wycenił pelplińskiego białego kruką na sumę 20 tysięcy złotych marek.

POKUSA

Pierwszy w odrodzonej Polsce biskup-Polak ordynariusz Diecezji Chełmińskiej (dziś – Pelplińskiej), ksiądz Stanisław Okoniewski (1870-1944), planował dla Pelplina szerokie inwestycje. Przewidywał między innymi budowę gmachów archiwum diecezjalnego oraz biblioteki seminaryjnej, modernizację i rozbudowę Seminarium Duchownego i inne. Były lata światowego kryzysu. Naiwnością byłoby liczyć na pomoc państwa. Mimo to, jakby na przekór panującej biedzie, w roku 1927 rozpoczęto rozbudowę seminarium. Za co? Otóż znalazł się sposób na zdobycie pieniędzy, których

BIBLIA 42-WIERSZOWA

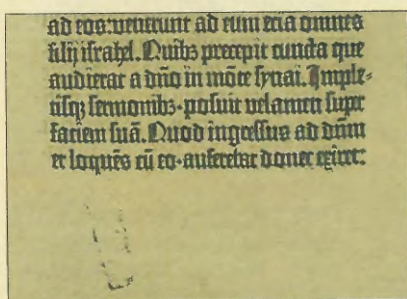
Już po rozpoczęciu druku Biblii zwiększono jej nakład. W tej sytuacji należało dodrukować brakujące początkowe strony, a na pozostałych zmniejszyć czcionkę i dodać w kolumnach wiersze, żeby zmiana nakładu nie podniosła zbytnio kosztów. Ostatecznie tomy Biblii zostały skom-



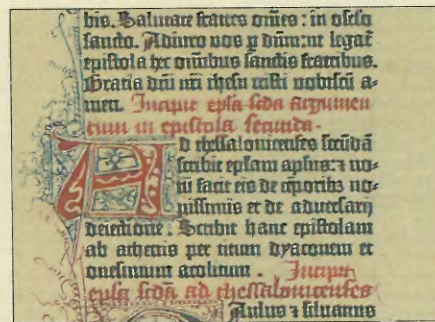
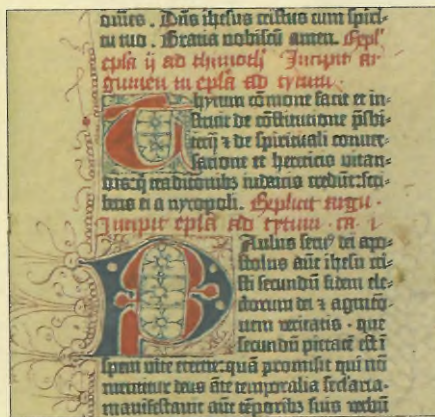
pletowane z 641 kart in folio zadrukowanych obustronnie w dwóch kolumnach. Karty początkowe posiadają po 40 wierszy, reszta 42 wiersze i stąd pochodzi nazwa Biblii. Tylko karta 10 została zadrukowana 41 wierszami. Uważa się, że wprowadzone zmiany zmniejszyły zużycie pergaminu i papieru o 5 procent.

CZCIONKI

Gutenberg sam opracował stop do odlewania czcionek. Posiadały one nie tylko stemple liter i znaków interpunkcyjnych, ale też puste spacje. Zecerzy Gutenberga składali tekst w matrycy, której wielkość była dostosowana do strony druku. Jednym kompletem czcionek mogli dokonywać wielokrotnego składu i bez ograniczeń wprowadzać korekty, nie niszcząc całego złożonego tekstu. Stosując wymienne czcionki i matrycę Gutenberg zastąpił żmudną i kosztowną technikę drukowania drewnianymi całostronicowymi klockami, na których złożono tekst razem z rysunkami. Krój liter Biblii 42-wierszowej był wzorowany na piśmie XV-wiecznych manuskryptów.



Plama na dolnym marginesie karty 46 recto pierwszego tomu odpowiada wielkością leżącemu słupkowi czcionki Gutenberga. To „zabrudzenie” mogło drogo kosztować nieostrożnego drukarza, dzisiaj tylko podnosi atrakcyjność starodruku podobnie jak ślady niestaraności rubrykatora.



Niezbyt staranny rubrykator pelplińskiej Biblii ma na sumieniu więcej podobnych przekreśleń i poprawek oraz opuszczeń

z naddatkiem starczyłoby na realizację wszystkich przedsięwzięć. Wystarczyło sprzedać Biblię. Kto pierwszy zgłosił ten pomysł, nikt nie pamięta. Biskup nie powiedział: nie.

DECYZJA

Biskup Okoniewski miał opinię wysmakowanego bibliofila. W kolekcji manuskryptów i starodruków, które na ówczesną modłę kazał przyciąć do kilku wybranych formatów i jednakowo oprawić (bo w bibliotece musiały „porządnie” wyglądać), przechowywał między innymi taki rarytas, jak „Kazania” Piotra Skargi. Wydaje się, że lepiej od innych doceniał nie tylko finansową wartość Biblii Gutenberga. Przedwojenny i powojenny dyrektor biblioteki pelplińskiego seminarium, ksiądz Antoni Liedtke, wyraża na kartach książki „Saga Pelplińskiej Biblii...” przypuszczenie, że biskup uzyskał

w Watykanie aprobatę wymaganą przy sprzedaży wyjątkowo drogich obiektów, do jakich można zaliczyć Biblię 42-wierszową.

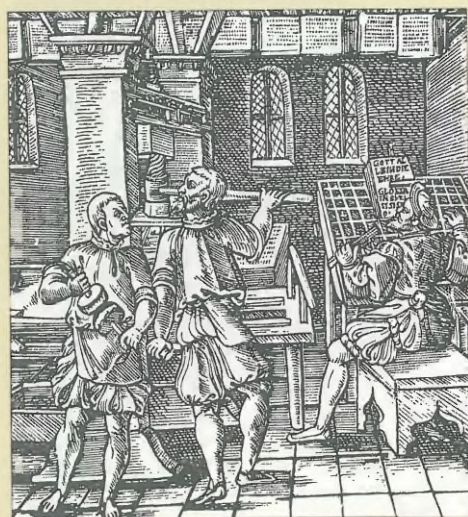
Podobną zgodę wydał wojewoda toruński. Stało się to 18 października 1929 roku podczas spotkania w Pelplinie, „którego celem – jak pisze ksiądz Liedtke – było pozyskanie kleru dla współpracy z blokiem rządowym”. W Pelplinie zaczął hywać żydowski antykwariusz z Gdańska Feliks Bruckstein, do którego biskup zwrócił się, by pośredniczył w jak najkorzystniejszej transakcji.

NAWET TACY ROSJANIE

Choć zamiaru sprzedaży Biblii nikt oficjalnie nie rozgłaszał, dowiedziało się o tym Prezydium Rady Bibliofilskiej w Warszawie. Bardzo poruszone zwróciło się do biskupa w piśmie z 11 listopada 1929 roku z prośbą o zdementowanie lub potwierdzenie swoich obaw. Prezydium traktowało osobę biskupa-bibliofila jako stronnika we wspólnej sprawie, natomiast oburzenie kierowało pod adresem kanoników tworzących Kapitułę. Było to posunięcie taktyczne. Dla przeciągnięcia hierarchii na swoją stronę, Prezydium posłużyło się takim wręcz argumentem: „Barbarzyńska Rosja w osobie cara Mikołaja I-go w połowie XIX wieku czyniła unikalne starania o zdobycie dla Cesarskiej Biblioteki Petersburskiej egzemplarza Biblii Gutenberga, które po długich poszukiwaniach zostały uwiecznione pomyślnym rezultatem i dzisiejsza nawet bolszewicka Rosja, pozbywająca się złota i brylantów z pietyzmem zachowuje Biblię Gutenberga”. Dalej Prezydium wyraża najgłębsze przekonanie, że „Ekscelencja z całą stanowczością oprze się zamiarom Kapituły, która przez swój postępek zapisałaby się ujemnie w dziejach kultury polskiej”. Warszawskie Prezydium nie omieszkało też przestrzec, że w razie braku odpowiedzi podejmie akcję „na wielką skalę w całej prasie naszej”.

BITWA KONTROLOWANA?

Milczenie biskupa puściło wodę na młyn mediów. Sprawą Biblii zajęły się powiado-



Wnętrze drukarni. Drzeworyt z XVI w.

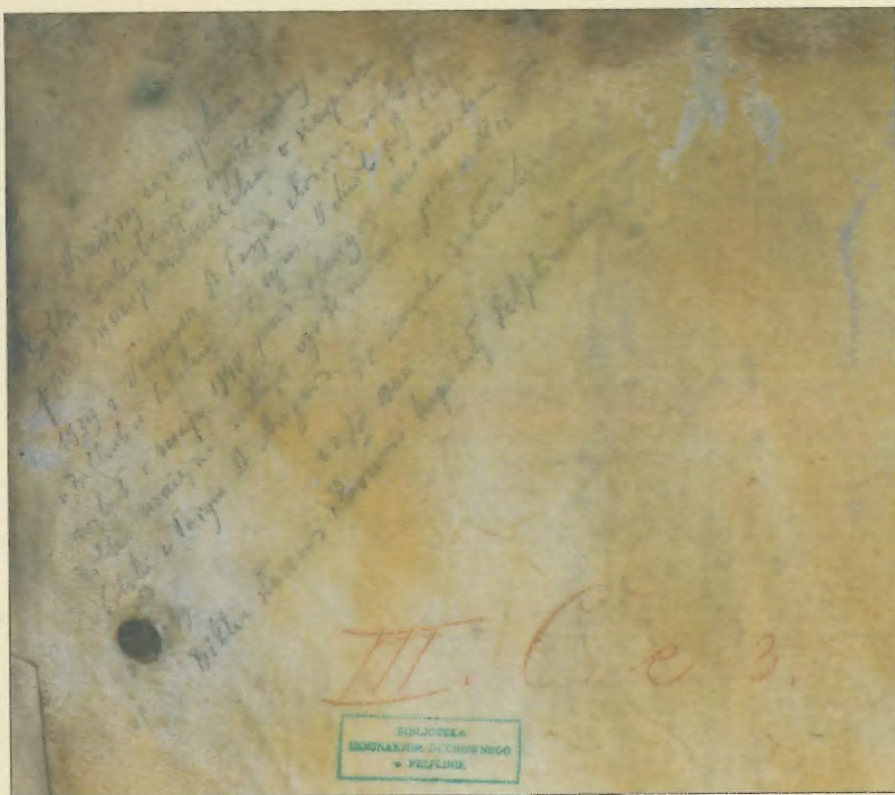
ZATRUDNIENI

Gutenberg zatrudniał w swojej oficynie prawdopodobnie kilkanaście osób. Sześciu zecerów i sześciu drukarzy najpewniej uzupełniał korektor, który wcześniej mógł opracować redakcyjnie tekst Biblii. Osobny pracownik zajmował się wygładzaniem arkuszy papieru i pergaminu zdeformowanych poprzez nawilżenie i druk, inny zbierał je w składki i kompletował całe tomy. Reszta zajęta była zakupami, gotowaniem i w ogóle prowadzeniem domu, cały personel Gutenberga mieszkał bowiem i stołował się wspólnie.

(wg Jan Pirożyński, „Johannes Gutenberg...”)



Fragment frontyspisu z dzieła B. Mallinckrota z 1640 roku „De ortu ac progressu artis typographicae”. Koln



A JEDNAK DLA KRAJU

W ostatnim dniu lutego 1933 roku biskup oficjalnie zaniechał trzymania w niepewności zagranicznych kupców i polskich bibliofilów. W rozpowszechnionym przez Katolicką Agencję Prasową komunikacie, po słowach oburzenia na dzienniki, które prowokacyjnie publikowały pogłoski „jakoby Biblię sprzedano i wywieziono za granicę”, hierarcha oświadczył, iż „Kuria Biskupia pragnie Biblię dla kraju zachować, mimo że zagranica ofiarowuje jej już blisko 1.800.000 złotych”.

MIŁOŚNIK KSIĄG

Patriotyczny gest docenili wdzięczni bibliofile. Tworzący ich elitę kawalerowie Rycerskiego Zakonu Bibliofilskiego w Krakowie zebrani w Kapitułe Orderu Białego Kraka odznaczyli biskupa swoim orderem w podziękowaniu za „miłość do książek” i „opiekę nad bezcennym, jedynym w Polsce skarbem wyczarowanym w Gutenbergowskiej oficynie”. Dekoracja odbyła się w Pelplinie 11 grudnia 1938 roku i przebiegała bardzo uroczyście. Krakowscy goście „z wzruszeniem

ŚWIADECTWO PICCOLOMINIEGO

Eneaszy Sylwiusz Piccolomini (1405-1464), późniejszy papież Pius II, napisał w marcu 1455 roku list, w którym nawiązywał do pobytu na targach książki we Frankfurcie nad Menem w październiku 1454 roku, kiedy druk Biblii Gutenberga był bardzo zaawansowany albo nawet zupełnie ukończony. Dowiadujemy się z tego źródła o uprawianej przez Gutenberga reklamie wydawniczej oraz przeprowadzonej subskrypcji na bodaj cały nakład Biblii.

„Na temat tego widzianego we Frankfurcie godnego podziwu człowieka nie napisa-
no mi nic nieprawdziwego. Całych Biblii nie widziałem, tylko niektóre kwinterniony
z rozmaitych ksiąg (Pisma Świętego), wykonane za pomocą niezwykle czystego i po-
prawego pisma, bez żadnych błędów. Wasza Dostojność mógłbyś je łatwo i bez oku-
larów przeczytać. Od wielu osób dowiedziałem się, że zostało wykonanych 158 wolu-
minów, choć niektórzy zapewniali nawet, że 180. Jeśli chodzi o tę liczbę, nie jestem
całkiem pewien; nie wątpię jednak, że woluminy zostały ukończone, jeśli można wie-
rzyć tym ludziom. Gdybym wiedział, że tego sobie życzysz, to bez wątpienia wystaf-
bym jeden egzemplarz dla Ciebie. Kilka kwinternionów zostało także dostarczonych tu,
do cesarza. Będę próbował, jeśli tylko okaże się możliwe, jedną Biblię zdobyć tutaj dla
Ciebie i za nią zapłacić. Obawiam się jednak, że tego się nie da załatwić, zarówno
z powodu dużej odległości, jak również dlatego, że, jak mi doniesiono, jeszcze przed
ukończeniem tych woluminów już znaleźli się na nie chętni kupcy”.

(cytat za: Jan Pirożyński, „Johannes Gutenberg...”, s. 90-91)

obejrżeli" znaczne dzieło Gutenberga udostępnione im w salach biskupiego pałacu.

UCIECZKA

Po latach uspokojenia w 1939 roku nad pelplińską Biblią znów skłębiły się chmury. Jakkolwiek „czynniki miarodajne” zapewniały jeszcze w lipcu, że wojny raczej nie będzie, dyrektor seminaryjnej biblioteki ksiądz Liedtke czynił przygotowania, jakby miała rozpętać się lada dzień. Nikt w Pelplinie nie wątpił, że wojna zagrozi bezpieczeństwu Biblii. Z pomocą przyszedł Kazimierz Piekarski z Biblioteki Narodowej w Warszawie, który wcześniej przez kilka lat badał pelplińskie starodruki. Wynałazł miejsce w podziemnym skarbcu Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, „gdzie wśród przejętych już bezcennych depozytów państwowych znalazły się dwa kuferki wypełnione największymi cymeliami... jak np. Kazania Świętokrzyskie i Psalterz Floriański” złożone przez Bibliotekę Narodową. Inne skarby seminaryjnej biblioteki załadowano do trzydziestu skrzyń i wywieziono koleją do Zamościa, gdzie znalazły schronienie pod chórem renesansowej kolegiaty. Było tego niemało: 600 tomów inkunabułów, 707 szesnastowiecznych poloników oraz 411 rękopisów wraz z najstarszymi dokumentami Archiwum Diecezjalnego.

W ŚCISŁEJ TAJEMNICY

Wydarzenia zaczęły biec jak w filmie sensacyjnym. „Upoważniony przez biskupa ordynariusza do zabezpieczenia Biblii – wspomina ksiądz Liedtke – przygotowałem odpowiednią dla niej na podróż oprawę w postaci specjalnie zamówionej w ścisłej tajemnicy u miejscowego rymarza T. Gutkowskiego mocnej skórzannej walizy, w której oprócz dwóch tomów Biblii umieściłem także najcenniejszy spośród rękopisów bogato iluminowany »Psalterz« szkoły czeskiej z początku XVI wieku oraz egzemplarz mej pracy pt. Biblia Gutenberga w Pelplinie wyd. w Toruniu 1936 r. i to z myślą o ułatwieniu jej identyfikacji. Ciężką walizę wywoziłem 1 sierpnia w towarzystwie ks. profesora dr Józefa Smoczyńskiego taksówką do Tezewa, a stamtąd już sam pociągiem pospiesznym Hel-Warszawa do stolicy, gdzie zdeponowałem ją w »Romie« przy Nowogrodzkiej 49. Następnego dnia razem z p. Piekarskim, którego odszukałem w Bibliotece Narodowej, zawieźliśmy ją do Banku. (...) Nikt w całej ówczesnej Polsce nie wyobrażał sobie w najmniejszej mierze – napisze potem w 1959 roku Alodia Kawecka-Gryczowa – jak zadziwiające i burzliwe losy miały spotkać omawiane tu kuferki (z Biblioteki Narodowej) i walizę pelplińską”.

POZOSTAŁ KLUCZYK

Pelplin został zajęty przez armię niemiecką 3 września 1939 roku. Bodaj tego samego dnia



Oryginalna waliza rymarza Gutkowskiego, w której Biblia odbyła dwudziestoletnią tułaczkę

Oberleutnant SS Helmut Richter wydostał z kasy pancерnej Kurii Biskupiej kompletną dokumentację wywiezionych dzieł razem z kluczykiem walizy zabezpieczonej w warszawskim BGK. Zbiory złożone w Zamościu Niemcy odzyskali bez przeszkód i przekazali Bibliotece Miejskiej w Gdańsku, skąd pod koniec wojny trafiły w ucieczce przed Rosjanami na zamek w Malborku. Tymczasem po Biblii Gutenberga pozostał tylko kluczyk.

KTO?

Prędko rozeszły się pogłoski, że to biskup Okoniewski przejął z banku Biblię jako jej prawowity właściciel i wywiózł za granicę, „by mieć z czego żyć na tułaczce”. Prawdziwe było tymczasem tylko to, że pelpliński hierarcha pospiesznie opuścił diecezję i znalazł się na obczyźnie. Również za granicę umknął przed Niemcami ksiądz Liedtke. Niemcy na całym Pomorzu długo wypytывали polskich księży o biskupa Okoniewskiego oraz czy nie ukrywają „tego złodzieja Liedtkego, który ukradł Biblię Gutenberga”.

NIEZNANA KARTA DZIEJÓW

11 grudnia 1941 roku nadburmistrz Gdańska napisał do ministra Rzeszy dr Lammersa słowa, które, jeśli prawdziwe, dają informację o okresie najmniej znanym w dziejach pelplińskiej Biblii. Dowiadujemy

się zatem, iż „w nocy z 5/6 września 1939 r. wywieziono Biblię z Warszawy w kierunku Łucka, dokąd na pewno dotarła”. Kawecka-Gryczowa podaje natomiast, że „już w czasie oblężenia Warszawy skarbiec B.G.K. ewakuowano do Kołomyi, 16 sierpnia wywieziono do Kosowa, skąd przez Rumunię po dziewięciu dniach dotarł do Paryża. Kufr i walizę przechowała na razie tam Biblioteka Polska”. Inaczej o ewakuacji bankowego skarbcza pisze Klemens Kępczyk w książce „Miecz i kobierce”. Jego zdaniem kufr został złożony w banku „w przeddzień wojny, następnie ewakuowane z Warszawy z innym mieniem Banku spotkały się w Rumunii ze zbiorami wawelskimi... a dnia 22 listopada odpłynęły z Konstancy na statku »Ardeal«”. Zdaniem przedwojennego kustosa Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu, inżyniera Józefa Polkowskiego, Biblię miał przywieźć do Francji specjalny kurier z Polski.

PRZY QUAI D'ORLEANS

Profesor Karol Estreicher wiosną 1940 roku kierował we Francji polskim „urzędem do odzyskania dzieł sztuki”. Z listu, jaki napisał po wojnie do księdza Liedtkego, wynika, że we wrześniu 1939 roku Biblię przywieźli do ambasady polskiej w Paryżu dwaj dyrektorzy Banku Gospodarstwa Krajowego, Michał Górecki i niejaki Domaniecki.

Ostatecznie tomy złożono w Bibliotece Polskiej przy Quai d'Orleans, gdzie dyrektorem był Franciszek Pułaski. W Paryżu polskie skarby nie leżały zbyt długo.

ZNOWU UCIECZKA

W maju 1940 roku, kiedy stało się pewne, że Niemcy ruszą na Paryż, pośród powstałe-

ZYSK

Na przedniej karcie ochronnej pierwszego tomu pergaminowego egzemplarza Biblii w zbiorach The Henry E. Huntington Library and Art Gallery w San Marino w Kalifornii znajduje się zapis z XV wieku, świadczący o tym, że oba tomy są warte 100 reńskich guldenów. Cena dotyczy jednak Biblii już iluminowanej i oprawionej. Leonhard Hoffmann uznał, że (...) łączny nakład Biblii można było sprzedać za 9450 guldenów. Jeśli od tej sumy odliczymy koszty druku, które Hoffmann wycenił na 1932 guldeny, to otrzymamy kwotę 7518 guldenów, która stanowiłaby zysk Gutenberga i Fusta. (...) Hoffmann obliczył, że Gutenberg zarobił na tym przedsięwzięciu 2721,5 guldena, a Fust 4796,5 guldena, wliczając w to zwrot długu Gutenberga wraz z odsetkami.

(Jan Pirożyński, „Johannes Gutenberg...”)



Ceremonia otwarcia skrzynki z Biblią w pałacu biskupim 25 lutego 1959
Księża Kowalkowski i Liedtke oglądają odzyskane skarby



go zamieszania profesor Estreicher wydo-
stał z Biblioteki Polskiej pelplińskie skarby
i osobiście wywiózł do Angers, gdzie swoją
siedzibę miały polskie władze emigracyjne.
Dramatyzm tamtych dni doskonale oddają
słowa zaczerpnięte z listu profesora: „W pią-
tek 14 czerwca przygotowałem wyjazd z An-
gers razem z cennymi rękopisami i Biblią
Gutenberg. Prywatnym niewielkim samo-
chodem, z moją siostrą i szwagrem, ruszyli-
śmy w nocy na południe do Limoges,
a stamtąd do Aubusson. (...) Również po dwu-
nastu godzinach zajechaliśmy do Aubusson.
Tu w manufakturze gobelinów złożone były
w magazynach arras wawelskie oraz skar-
biec wawelski (m.in. ze Szczerbcem). Dy-
rektor fabryki gobelinów i administrator
złożonych tu dóbr Jeanneau miał daleko
idące wątpliwości co do wywozu polskich ar-
rasów. Na miejscu w Aubusson był dr Stani-
sław Świerż oraz inż. Polkowski. Zapakowa-
liśmy razem z nimi arras. Siostra moja
Ewa Grodzicka pomagała je obszyć w płó-
tno. Zrobiliśmy spisy. Do przedmiotów wa-
welskich dołączyłem przywiezione rękopisy
i Biblię Gutenberg. Pamiętam, że za każ-
dym razem sprawdzałem zawartość walizy,
obawiając się, czy w czasie transportu nie
nastąpiło jakieś uszkodzenie”.

W OSTATNIEJ CHWILI

Pośród „kolosalnej wokół paniki” profe-
sorowi udało się cudem zakupić bagażówkę,
na którą załadował siedemdziesiąt cztery
paki i na łeb na szyję pognął zatłoczonymi
drogami przez Libourne do portowego Bor-
deaux, skąd z towarzyszącymi mu osobami
18 czerwca odpłynął statkiem „Chorzów” do
Anglii. Już na pokładzie statku Estreicher
wypakował Szczerbiec i na wszelki wypadek
przywiązał do deski opatrując „odpowied-
nim napisem umieszczonym we flasce”.
Kilka godzin po opuszczeniu Bordeaux na
port spadł grad niemieckich bomb.

ZA OCEAN

Anglia nie była dobrym miejscem bez-
piecznego oczekiwania końca wojny. Niemcy
nękali ją z powietrza, zagrożona była inwa-
zją z morza. Kilka dni po wylądowaniu pak
z „Chorzowa” rząd emigracyjny zdecydowa-
wał o ewakuowaniu ich za Atlantyk, gdzie
rząd kanadyjski zgodził się wpuścić je bez
cła jako własność państwa polskiego i obie-
cał udostępnić pomieszczenie w gmachu ar-
chiwum administracji państwowej, gdzie
będzie można je nie tylko składować, ale
i konserwować. Ułożone w ładowniach „Ba-
torego” opuściły port w Glasgow w pierw-
szej dekadzie lipca. Nasz flagowiec, eskorto-
wany przez okręty wojenne, w największej
tajemnicy wywoził też część angielskiego
złota. Do Kanady zabrali się oficjalni opie-
kunowie naszych dóbr, wawelscy kustosze,

doktor Świerż-Zalewski i inżynier Polkowski. W Kanadzie obaj panowie znaleźli znakomite warunki do wypełniania swoich obowiązków konserwatorskich, stamtąd też pilnie przysłuchiwali się wieściom nadchodzącym z Europy.

KOMU BARDZIEJ?

Po zdradzie jałtańskiej państwa świata uznali w 1945 roku Rząd Jedności Narodowej za jedyny legalny rząd polski, odbierając tym samym uznanie rządowi emigracyjnemu w Londynie.

Wiadomo było, że władze warszawskie prędzej czy później wystąpią o zwrot mienia polskiego. Taki bieg wypadków przewidział poseł rządu londyńskiego w Kanadzie, Wacław Babiński, który w porę podjął energiczne starania zabezpieczające: „udało się Babińskiemu uzyskać poparcie ze strony sfer kościelnych – czytamy w „Sadze...” – i przy ich pomocy większą część depozytu, głównie arrasy, ukryć w maju 1945 r. w dwóch klasztorach. Polecenie Babińskiego wykonali z zachowaniem ścisłej tajemnicy Świerż-Zalewski i Polkowski, którzy już wcześniej, bo 2 marca, zdeponowali w ottawskim oddziale Bank of Montreal dwa kufry zawierające ponad sto bezcennych skarbów, zastrzegając sobie wyłączne prawo dysponowania depozytem. Znajdowały się w nich m.in. „Szerbiec», insygnia koronacyjne, buławy marszałkowskie (...) oraz rękopisy Chopina i... Biblia Gutenberga”.

POWSZECHNE OBURZENIE

Fiasco starań Warszawy o odzyskanie wywiezionych skarbów wywołało w latach 1946-1959 gwałtowną reakcję polskiej prasy „wszystkich odłamów”, jak ją nazywa ksiądz Liedtke. Zrodziła się trudna sytuacja: „trzeba było stoczyć 13-letnią batalię na dwa fronty równocześnie tak z dywersyjną kampanią Polaków nasłanych przez londyński rząd emigracyjny jak i z niezrozumiałym z punktu widzenia prawa międzynarodowego jednostronnym i negatywnym nastawieniem władz kanadyjskich – wspomina ksiądz – (...) stanowisko Kanady, napiętnowane słusznie jako skandal międzynarodowy i światowy skandal kulturalny, spotkało się z powszechnym oburzeniem społeczeństwa polskiego, które wszelkimi sposobami starało się poprzeć wysiłki Rządu”.

KONFLIKT PATRIOTÓW?

Wydaje się, że ksiądz Liedtke nawet nie usiłuje zrozumieć stanowiska rządu emigracyjnego i Kanady. Razem z komunistyczną propagandą oskarża Babińskiego, Zalewskiego i Polkowskiego o chęć wzbogacenia się haniebną sprzedażą narodowych skarbów, a przecież ci panowie wykonali dokładnie to, co zrobiliby każdy polski patriota.

ZACHOWANE

Do dziś zachowało się 48 egzemplarzy Biblii (częściowo niekompletnych), w tym tylko 12 pergaminowych. W zbiorach niemieckich znajdowało się 14 egzemplarzy, z czego dwa lipskie z Deutsches Buch- und Schriftmuseum der Deutschen Bücherei i Biblioteki Uniwersyteckiej, uważane długo za zaginione w 1945 roku, ostatnio odnalezły się w Moskwie. W Stanach Zjednoczonych przechowuje się 10 egzemplarzy, w Wielkiej Brytanii 8, we Francji 4, w Watykanie 2, w Hiszpanii 2, a w Austrii, Danii, Japonii, Polsce, Portugalii i Szwajcarii po 1 egzemplarzu. Do tego trzeba jeszcze doliczyć dwa egzemplarze, które zostały rozdzielone na części i sprzedane różnym instytucjom oraz prywatnym zbieraczom. Jeden z nich pochodził z Trewiru, a jego fragmenty znajdują się obecnie w Belgii, Lichtensteinie i USA. Drugi, z Mannheim, trafił we fragmentach do USA i w ręce Otto Schäfera w Schweinfurcie. Ponadto zachowało się jeszcze ponad sto fragmentów Biblii, w większości przypadków pojedynczych kart, rozproszonych po całym świecie.

(Jan Pirożyński, „Johannes Gutenberg...”)

Najlepiej jak umieli zabezpieczyli narodowe mienie i czekali na powrót normalnych czasów. Nie mogli traktować poważnie reakcji sterowanej w tamtych latach polskiej prasy czy głosów „opinii publicznej”. Podobnie trudno było inaczej jak z największą rezerwą odnosić się do samego rządu warszawskiego, którego skład i program były przecież narzucone przez Moskwę.

W lipcu 1958 roku przedstawiciele władz PRL zwrócili się o interwencję do samego Prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego. Ksiądz Prymas wysłuchał prośby i wystosował w listopadzie specjalny list do arcybiskupa Montrealu, w którym zapewnia, że „cały Naród z niecierpliwością wyczekuje odzyskania swych skarbów, i nie ma żadnych obaw, by nie miały wrócić na swoje miejsce do swoich właścicieli, tak jak do kościoła Mariackiego wrócił słynny ołtarz Wita Stwosza,

starannie na koszt Państwa odnowiony i poddany drobiazgowej konserwacji”.

Słowa te były prawdziwe. Atmosfera oczekiwania była rzeczywiście gorąca i absolutnie niezależna od wysiłków oficjalnej propagandy, co może poświadczyć niżej podpisany. Powrót skarbów narodowych miał w kraju duże znaczenie symboliczne. Oznaczał bowiem w tamtych nienormalnych czasach powrót części utraconej normalności. Po interwencji Prymasa nieustępliwość rządu emigracyjnego oraz władz kanadyjskich zaczęła topnieć. Oczekiwany powrót wymagał już tylko dopełnienia pewnych procedur formalnych.

POWRÓT

Podczas lat spędzonych w podziemiach Bank of Montreal pelplińska Biblia Gutenberga nie doznała większego uszczerbku. Po-

DAR OJCA DRUKARSTWA

W połowie lat siedemdziesiątych XX stulecia Niemcy wydali reprint przechowywanej w Berlinie 42-wierszowej Biblii. Był to drugi światowy reprint tego dzieła.

Pierwszy powstał w 1917 roku, również w Niemczech, ukazał się w edycji bibliofilskiej. Został wytoczony na specjalnie dobranym papierze i jak oryginał kunsztownie oprawiony. Jeden z egzemplarzy trafił do zbiorów biblioteki gdańskiej. Nadwerżony przez wojnę wygląda dziś jak oryginał.

Choć reprint z lat siedemdziesiątych był zwyczajnym fotooffsetem odbitym na normalnym papierze i oprawiony jak współczesna książka, okazało się, że można na nim nieźle zarobić. Nakład rozszedł się imponująco. Rządząca wówczas Polską władza ludowa postanowiła powtórzyć sukces Niemców. Urzędnicy Ministerstwa Kultury PRL zwrócili się zatem w 1979 roku do rektora pelplińskiego seminarium, ks. Buxakowskiego, o udostępnienie Biblii Gutenberga dla wykonania kopii. Był to czas prawie nieograniczonego monopolu państwa na działalność poligraficzną, do której szczególnie skąpo dopuszczano środowiska niezależne od PZPR. Rektor postawił twardy warunek: koncesja na działalność poligraficzną i talon na maszynę drukarską. Jakkolwiek zażądał rzeczy wydawałoby się niemożliwej, w ciągu kilku dni uzyskał koncesję i talon. Zakrojonych na wielki sukces prac nad reprintem władza ludowa nigdy nie podjęła z braku odpowiedniego sprzętu, a może i pobudek światopoglądowych. Za to, niejako za sprawą mogunckiego ojca drukarstwa, koncesja i maszyna w seminarium pozostały, stając się zaczątkiem Wydawnictwa Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum”, które z wynalazku mistrza Johanna stara się robić dobry użytek. W minionym roku z inicjatywy wieloletniego dyrektora, Tadeusza Serockiego, „Bernardinum” wydrukowało i oprawiło reprint pelplińskiej Biblii Gutenberga, kopiując oryginał najdokładniej, jak tylko można. Powtórzono nawet wysokość nakładu pierwszego wydania.



Lubiącemu „poszaleć” dyrektorowi „Bernardinum” przyszedł pomysł ukoronowania niedawno minionego Roku Gutenberga jakimś niezwykłym postanowieniem. Oto on: reprint pelplińskiej Biblii Gutenberga z 2003 roku. Każdy komplet trafia do odbiorców w walizie będącej repliką tamtej wykonanej w 1939 roku przez Gutkowskiego

dobnie nie ucierpiały inne skarby. Stwierdziła to na miejscu, 23 grudnia 1958 roku, polska grupa rzeczoznawców z dyrektorem Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu, profesorem Jerzym Szablowskim, na czele. Strony spisały skrupulatnie przygotowane protokoły zdawczo-odbiorcze i wreszcie – zacytujmy jeszcze raz księdza Liedtkego – „dnia 18 stycznia 1959 r. odzyskane Skarby rozpoczęły tryumfalny powrót do Polski, eskortowane przez Kanadyjską Konną Policję (RCMP) do

samej granicy Kanady, następnie przez amerykańską straż kolejową do Nowego Jorku, skąd statkiem Linii Szwedzko-amerykańskiej »Sztokholm«, ubezpieczone na 100 milionów dolarów do Kopenhagi pod stałą opieką towarzyszących im ekspertów i kurierów dyplomatycznych, a w końcu wagonem-salonką przybyły do Warszawy w dniu 3 lutego entuzjastycznie witane przez mieszkańców Stolicy”. Nie był to komplet wywiezionych skar-bów. Brakowało między innymi arrasów.



Tadeuszowi Serockiemu udaje się czasem namówić bogatsze firmy, by zamiast rozdawać przy różnych okazjach pióra, koniaki czy inne mało ciekawe pamiątki, wręczali specjalnie dla nich wykonane reprinty starodruków o tematyce związanej z prowadzoną przez nie działalnością. Tym sposobem udało się wydać kilka perełek

W OJCZYŹNIE

Po powrocie niemal z marszu udostępni-no wawelskie skarby i Biblię Gutenberga stęsknionym za nimi rodakom. W Sali Matejkowskiej warszawskiego Muzeum Narodowego wystawiono je od 7 do 12 lutego, a na Wawelu od 16 do 22. Rzesze zwiedzających były podobno „niewyobrażalne”. Entuzjazm wielki. Nastrój podniosły.

Szczęśliwie nie spełniła się żadna z obaw wyrażanych przez osoby i instytucje skupione wokół „nieprzychylnego powrotowi skar-bów” rządu londyńskiego. Wszystko trafiło na swoje miejsce. Biblia Gutenberga również.

DO DOMU

W zacisze seminaryjnej biblioteki, z której wywieziono ją chyłkiem 1 sierpnia 1939 roku, Biblia wróciła z fanfarami rankiem 25 lutego 1959 roku. Zajechała na peron PKP w Pelplinie nocnym krakowskim pociągami, dowieziona w trzyosobowym przedziale sypialnym, gdzie była stale doglądana przez dwóch księży (jednym był Antoni Liedtke) i funkcjonariusza MO. Po oficjalnych powitaniach i poddaniu niezbędnej kuracji konserwatorskiej, odświeżona i piękna dała się ułożyć w pancерnej gablo-cie biblioteki, skąd później przeprowadziła się do zbudowanego jakby specjalnie dla niej muzeum diecezjalnego, którego jest największą ozdobą. Chociaż Wydawnictwo „Bernardinum” skłono-wało ostatnio w sposób doskonały prawie dwieście jej sobo-wtórek, nigdy żadna nie będzie jak ona. ■

WYKORZYSTANO:

Hoffmann L., „Die Gutenbergbibel, Eine Kosten- und Gewinnschätzung des ersten Bibeldrucks auf der Grundlage zeitgenössischer Quellen”, *Archiv für Geschichte des Buchwesens* 39, 1993,

Liedtke A., „Biblia Gutenberga w Pelplinie”, Toruń 1936,

Liedtke A., „Saga pelplińskiej Biblii Gutenberga”, Pelplin 1988,

Liedtke A., „Wojenne losy biskupa chełmińskiego Stanisława Wojciecha Okoniewskiego 1939-1944”, Pelplin 1983,

Liedtke A. „Zestawienie rubryk Pelplińskiej Biblii Gutenberga”, Pelplin 1937,

Piwożyński J., „Johannes Gutenberg i początki ery druku”, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2002.

Muzeum Diecezjalne w Pelplinie,
Plac bpa Dominika 11, tel. 536-17-57,
zaprasza zwiedzających
od wtorku do soboty w godz. 11-16,
w niedziele – 10-17.



FOTO: LESZEK POKORSKI

Pokłon feretronów z Żukowa, oglądany z wysokości ołtarza odpustowego. Wyraźnie widoczny sposób trzymania feretronu: obraznik jedną dłonią obejmuje drążek noszący, drugą trzyma metalowy wspornik

WYJĄTKOWA KALWARIA

Tekst: Tymoteusz Jankowski

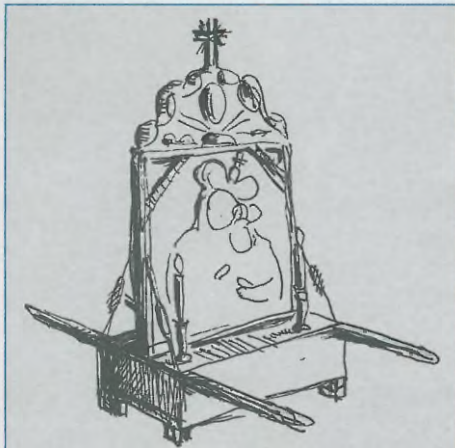
Kompanie pielgrzymkowe, które przychodzą na Kalwarię Wejherowską z południa Kaszub na przypadający na przełomie maja i czerwca odpust Wniebowstąpienia Pańskiego, wyróżnia pewien zwyczaj zupełnie nieznany gdzie indziej na świecie. Nazywa się go pokłonami albo tańcem feretronów. Bo istotnie, dla obserwatora niezaznajomionego z tym rytmem ma on w sobie coś z zamaszystych ukłonów czy szalonego tańca świętych obrazów.

W rzeczywistości feretrony, podobnie jak inne atrybuty pielgrzymkowe, czyli prowadzący kompanię krzyż oraz chorągwie, wykonują zwyczajny znak krzyża, czyli po prostu żegnają się albo jeszcze inaczej: błogosławią tym znakiem. Ale robią to w sposób dość niezwykły, by nie powiedzieć: ekstrawagancki. Wykonują znak

krzyża podczas pożegnania i powitania kościoła parafialnego, jak też przy powitaniach i pożegnaniach mijanych w czasie pielgrzymiej wędrówki świątyń i kaplic, a przede wszystkim przy pożegnaniu ołtarza odpustowego, co następuje zaraz po zakończeniu kalwaryjskich uroczystości odpustowych na Górze Trzech Krzyży. Napomknęliśmy

o tym zwyczaju na naszych łamach w kwietniu 2000 roku („Między Białą a Srebrną”). Jak dotąd ów ryt nie doczekał się żadnego profesjonalnego opracowania, a szkoda, bo to ciekawe zjawisko folklorystyczne.

Pielgrzymka oliwska chodzi na Kalwarię Wejherowską najdłużej, bo od 1668 roku, i z tego tytułu nazywana jest matką piel-



Feretron to rodzaj noszy (od gr. phētron = nosze) służących do procesyjnego obnoszenia obiektów kultu, takich jak relikwie, obrazy, rzeźby i inne. W Polsce umieszcza się na nich najczęściej obrazy

grzymek. Młodsza o pięć lat pielgrzymka z Kościerzyny nosi imię ojca pielgrzymek. Tak w Oliwie jak i w Kościerzynie nikt nie potrafi opowiedzieć o początkach zwyczaju żegnania feretronów. Moi rozmówcy, mężczyźni noszący oliwski feretron, powtarzają za znanymi sobie nieżyjącymi już najstarszymi uczestnikami pielgrzymek, że to bardzo stara tradycja. Ale nikt nie potrafi powiedzieć, kto i kiedy ją zainicjował. Podobnie odpowiadają pątnicy z Kościerzyny i innych miejscowości. Nie wspomina o tym zwyczaju Grzegorz Gdański, autor „Kroniki Klasztoru Franciszkanów Ściślejśzej Obserwacji w Wejherowie w latach 1633-1676”, pierwszy dziejopis wejherowskich franciszkanów reformatów, którzy od samych początków sprawowali opiekę nad Kalwarią.

Jednak to, co najważniejsze, czyli: kiedy i jak wykonywać obrazami znaki krzyża,



Na Górze Trzech Krzyży znak krzyża wykonują oliwscy pielgrzymi

wiedzą niemal wszyscy pątnicy. Każda kompania jest przekonana, że jej feretron robi to najpiękniej. Wykonywanie tego rytu bywa niełatwe, zwłaszcza kiedy obraz – na

przykład taki jak oliwski – waży razem z ramą i noszami – bagatela – 108 kilogramów. Niewiele ustępuje mu obraz kościerski. Niełatwo nieść taki ciężar, a co dopiero wyczniać z nim nadziemne ewolucje.

Mężczyźni noszący feretron nazywają się obraźnikami. Chodzą w dwóch parach. Przednią stanowią zazwyczaj obraźnicy bardziej doświadczeni. To oni nadają kolegom z tyłu tempo marszu, a podczas żegnania biorą na siebie prawie cały ciężar obrazu.

Jak to żegnanie wygląda?

Obraz najpierw „kłania się” głębokim skłonem do przodu. Przy normalnym znaku krzyża odpowiada to przełożeniu dłoni z czoła na pierś. Następnie wraca do pozycji wyjściowej i obraźnicy przechylają go w lewo, wyprostowują i jeszcze raz przechylają, ale tym razem w prawo, co odpowiada przekładaniu dłoni na ramię lewe i prawe. Wszystkie skłony są głębokie, równe prawie 90 stopni.

Najtrudniejszy jest skłon do przodu. Obrażnicy z przedniej pary muszą tak przypchnąć pod feretronem, by nie oberwać w ramię albo po głowie. Zmuszeni są też zaufać tylnej parze, że utrzyma drażki noszy i obraz nie przysunie ich stukilogramo-

Barokowy obraz pielgrzymki oliwskiej wnoszony na wejherowską Górę Trzech Krzyży. Ufundował go Jan Ignacy Bąkowski, zmarły w 1679 roku wojewoda najpierw pomorski, potem malborski, fundator kościoła i klasztoru franciszkanów reformatów z podgdańskiego Chelma, skąd przez ponad sto lat wyruszały pielgrzymki do wejherowskich wzgórz, póki klasztor nie spłonął podczas oblężenia Gdańska w 1813 roku. Feretron jest wyposażony w dwustronny obraz, oprawiony w ramę ze srebrnej, trybowanej blachy, którą wykonał w 1788 roku złotnik gdański Berendt Janzen. Nazwiska malarza nie znamy. Z jednej strony obraz ukazuje pa-



FOTO: ZBIGNIEW BERNARDI, KALWARIA



Żegnają się pielgrzymi z Szemuda

wym ciężarem. Do wykonywania tych ewolucji nie wolno zakładać zbyt przylegających spodni. Nie tak dawno jednemu z oliwskich obraźników puścił szew i to na samej Górze Trzech Krzyży. Rozpruł się z trzaskiem na całym złączeniu nogawek. Na szczęście oliwscy obraźnicy ubrani są w długie czerwone płaszcze.

Kompanie nie wykonują znaku krzyża wszystkimi feretronami. Dotyczy to szczególnie tych lżejszych, noszonych przez kobiety. Zdarza się, że panie zataczają obrazem koło, które ich zdaniem ma wyrażać doskonałość Boga. Lekki feretron parafii z Lini nie noszony przez tamtejsze niezamężne parafianki, nie wykonywał znaku krzyża ani nie zataczał koła, bywał natomiast... podrzucany.

Muzycznym tłem tego rytu jest tak zwany tusz czyli krótki dynamiczny hejnał odgrywany z werwą przez muzykantów towarzyszących każdej kompanii. Podobno wszystkie kompanie posiadają własne tusze. Obrzęd żegnania trwa krótko, jest widowiskowy i pozostawia silne wrażenie. Nie u wszystkich jednak znajduje zrozumienie. „Wywijanie świętymi obrazami” ma przeciwników, którzy na szczęście nie są liczni.

Na Kalwarii Wejherowskiej obok „tańczących” feretronów spotykamy (albo jeszcze do niedawna spotykaliśmy) również inne uświęcone wieloletnią tradycją zwyczaje. Niemal ich rejestr zawiera praca magisterska Elżbiety Marii Went z 1972 roku, zatytułowana „Folklor religijny w piel-

Tusz pielgrzymki oliwskiej

grzymkach kaszubskich”. Autorka uczestniczyła w pielgrzymce idącej z Oliwy do Wejherowa w 1971 roku, przeprowadziła też немало rozmów z pielgrzymami z Kościerzyny. Aż prosi się, by ta praca o dużych walorach poznawczych została wreszcie wydana z zakamarków wejherowskiego Mu-

Tusz pielgrzymki z Oliwy

Dwie skryte boleści Pana naszego Jezusa Chrystusa

Pierwsza boleść: kiedy Chrystus Pan biczowany, a Marya Matka najświętsza na tak okropny widok z niewypowiedzianą boleścią patrzeć musiała. Wówczas żyd jeden imieniem Dany, najzłośliwszy tyran Zbawiciela naszego, wziął pełną garść krwi płynącej z ran Jezusowych, rzucił na twarz Najświętszej Matki Chrystusowej, tak, iż cała skrwawiona została. Jak wielkim utrapieniem i boleścią serce Jej zranione było, żaden język ludzki powiedzieć nie zdoła. Ktokolwiek nabożnie rozważać będzie, za tę Jej niepojętą żalność zmówi jedno Zdrowaś Maryo.

Druga boleść bolesna: ukoronowanie cierniową koroną Zbawiciela naszego. Znowu tenże złośliwy żyd Dany wziął z korony Jezusowej, która mu wtłoczoną na głowę została, utamawszy wielki cierń, i rzekł do Jezusa: „Otwórz usta i podaj mi język Twój”. W czym zaraz usłuchał go Pan Jezus, a ów bezbożny żyd przekłut tymże cierniem na wylot najświętszy język Jego tak, że już Zbawiciel nasz nie mógł nazad wciągnąć swego języka. Drugi zaś żyd widząc takie tyraństwo i widząc cierń w języku Chrystusowym, rzekł do Dany: „Co też to za tyraństwo okrutne” i wyciągnawszy cierń z najświętszego języka, na ziemię go rzucił. Za to miłosierdzie i politowanie, które miał nad Jezusem, otrzymał ten żyd zbawienie duszy swojej. Ktokolwiek tę ukrytą i dotąd niewymowną boleść w najświętszym języku Jezusowym nabożnie czci i prosić będzie, dozna od Boga i od Pana Jezusa wielkich łask. Kto rany cierniem zranione w najświętszym języku czci, całuje ziemię i zmówi jedno Ojczy nasz i jedno Zdrowaś Maryo”.

Modlitwa do Najświętszego Języka Pana Jezusa

O Jezu, Synu Boga Żywego, Królu serca mego i zupełny sprawco mego pragnienia Cię, przez Twoje bolesne cierpienie i ukoronowanie użycz nam najgłębszej pokory przez przebitą cierniem język Twój. Ach Jezu mój najświętszy, przez ciężkie i okrutne przekłucie cierniem języka Twego odpuść mi, co kiedykolwiek językiem moim przeciwko Tobie Bogu i bliźniemu mojemu wypowiedziałem. Daj łaskę twoją, Panie, aby Cię język mój zawsze chwalił i dla miłości Twojej powściągliwy był. Żeby mękę Twoją zawsze w pamięci miał, a wszystkie krzyże, utrapienia i boleści z cierpliwością chrześcijańską znosił. O zraniony Boski języku, obym w godzinie śmierci mojej mógł usłyszeć językiem Twoim: „Dziś ze mną będziesz w raju”. Ostatnie słowa języka mego niech będą „Ojczy, w ręce Twoje oddaję ducha mego”.



FOTO LESZEK J. PIWAŁSKI

Fragment malowidła „Obnażenie z szat”, ze sceną która szczególnie porusza pątników. Malowidło ściennie powstało około 1654-57 roku, uznawane za jedno z lepszych na Kalwarii, prawie nie zmienione przez późniejsze przemalowania, jakim poddane zostały inne XVII-wieczne malowidła. Malarzem mógł być jakiś cysters z Oliwy, dopuszcza się bowiem, że w tamtejszym klasztorze istniał warsztat malarski. Dzieło o typowym dla kontrreformacji charakterze narracyjnym. Miało pokazywać sceny biblijne pielgrzymom nieumiejącym czytać i wzbudzać w nich konkretne emocje, jak: współczucie, groza, błogie uniesienie i inne. Program ówczesnego malarstwa tak ujął jeden z kaznodziejów: „co pismo czytającym, to prostaczkom patrzącym daje malowanie: patrząc na nie widzą, czego mają naśladować, na tym czytają, którzy czytać nie umieją”

zeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej i udostępniona zainteresowanym jako publikacja książkowa.

Elżbieta Maria Went na kartach swojej pracy ratuje od zapomnienia nie tylko niejednego kalwaryjski zwyczaj, ale też zatrzymuje w pamięci prawie zapomniane modlitwy odmawiane tylko na wejherowskich drózkach. Szczególnie interesujące wydają się dwie. To one – jak się przypuszcza – powtarzane rokrocznie przez kilka pokoleń Kaszubów, mogły w dużym stopniu formować ich charakter, a konkretnie: wyraźnie zauważaną na Kaszubach powściągliwość w „zdobieniu” mo-

wy wszędobylskimi gdzie indziej wulgaryzmami, cierpliwość w znoszeniu przeciwności losu oraz dystans do bezkrytycznego przyjmowania wszelkiego nowinkarstwa. Te modlitwy, to „Dwie skryte boleści Pana naszego Jezusa Chrystusa” oraz „Modlitwa do Najświętszego Języka” odmawiane między innymi „za ludzkie języki oczerniające”. Inspiracji do ich napisania, zdaniem Elżbiety Marii Went, mogła dostarczyć kontemplacja malowidła z kaplicy „Obnażenia z szat”, którą na stoku wejherowskiej Góry Trzech Krzyży wystawiła Joanna Katarzyna z Radziwiłłów Wejherowa, druga



„Obnażenie z szat”, malowidło z kaplicy Kalwarii Wejherowskiej

żona Jakuba Wejhera, najczcigodniejszego fundatora Kalwarii.

To, jak się przypuszcza, siedemnastowieczne malowidło (o jego autorze nie pewnego nie wiemy) pokazuje niezwykle sugestywnie scenę obnażania z szat i bicia Pana Jezusa. W oddanej bardzo ekspresyjnie pierwszoplanowej grupie, jeden z oprawców bestialsko szarpie Chrystusa za zuchwę, jakby usiłował wylamać Mu zęby albo wyrwać

język. Obnażany Syn Boży nie broni się, stoi pokornie jak baranek ofiarny, tylko oczy ma półprzymknięte z bólu. Widzimy wysoko wzniesione pięści prześladowców. Zaraz spadną na głowę Mesjasza. Z dalszych planów przypatruje się liczna gawiedź oraz gromadka płaczących kobiet. Nie sposób przejść obok tego malowidła obojętnie. Jednych obrzydza, innych wzrusza albo gorszy.

„Jeden ze starych pielgrzymów – pisze Elżbieta Maria Went – mężczyzna około 70-letni, informował mnie, że obraz ten pokazuje, jak »Panu Jezusowi werywajom ząmbe. Jeden żyd łedmiku Jemu gąbą palcami. Inny zedze (inni żydzi) stojom z biczem i chcą Go bić. To je straszny! Na to aż ni mleże patrzec, jak ten Mu bez mlece (na siłę) tą gąbą łedmiku«”.

„Modlitwa” i „Dwie skryte boleści” nie nawiązują wprost do znanych z Ewangelii scen Męki Pańskiej, ale do bliżej nieznanego wydarzenia zaczerpniętych z literatury apokryficznej i pewnie dlatego nie trafiły do kanonu oficjalnych modlitewników kalwaryjskich. A wydano tych, tzw. kalwaryjek wejherowskich niemało. Jako wytwory żarliwej pobożności ludowej krążyły za to pośród pątniczej braci w ręcznych odpisach. Niewykluczone, że podczas Drogi Krzyżowej odprawianej na wejherowskich wzgórzach w przededniu odpustu Wniebowstąpienia przewodnicy niejednej

małej grupy nadal je odczytują, jak miało to miejsce jeszcze w 1971 roku. Archaiczny język świadczy o bardzo odległej dacie powstania tych modlitw. Przytaczamy je obok w całości z pracy Elżbiety Marii Went. ■

Tegoroczne główne uroczystości odpustu Wniebowstąpienia Pańskiego będą obchodzone na Kalwarii Wejherowskiej w pierwszą niedzielę czerwca.

Redakcja zwraca się z prośbą do pani Elżbiety Went, aby zechciała się z nami skontaktować, a także do Czytelników, którzy mogą wskazać możliwość takiego kontaktu. Z góry serdecznie dziękujemy.

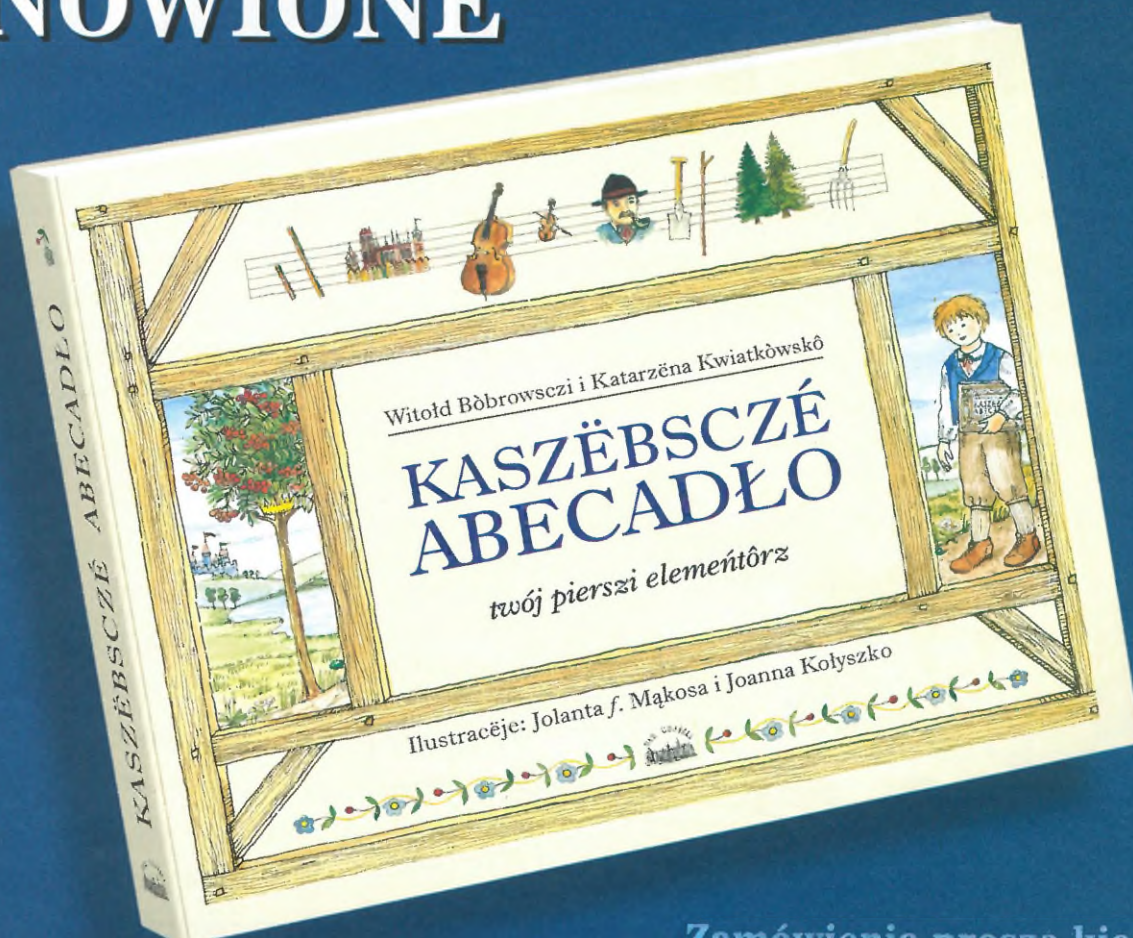
WYKORZYSTANO:

Klein Stanisław, „Ruch pielgrzymkowy na Kalwarię Wejherowską”, Wejherowo 1997;

Went Elżbieta Maria, „Folklor religijny w pielgrzymkach kaszubskich”, praca magisterska pisana pod kierunkiem ks. doc. dr Teofila Chodźiło, kierownika Katedry Historii Religii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Lublin 1972;

Wilga-Steyer Jadwiga, „Stan badań nad olejnymi malowidłami ściennymi na terenie Kalwarii Wejherowskiej” [w:] „Wejherowo. Dzieje, kultura, środowisko. Materiały z konferencji naukowej”, Wejherowo 1993.

WZNOWIONE



Zamówienia proszę kierować
na adres: remusk@use.pl



Tekst: Sławomir Kościelak

PROMENADA NAD KANAŁEM

Aż trudno uwierzyć, że na tym wąskim, zarośniętym drzewami i trawą nasypie mieściła się kiedyś dwupasmowa jezdnia, jeździły miejskie autobusy i tramwaje. Niemal do końca lat sześćdziesiątych XX wieku prowadziła tędy główna trasa wylotowa na Bydgoszcz, Toruń i Łódź. Ulica Jedności Robotniczej, która nie zdążyła zostać Traktem Świętego Wojciecha, a wcześniej jeszcze Günther Schaffer Wall (za nazistowskich czasów) i Południowa Promenada (za cesarzy Wilhelmów). Tak w skrócie można określić pozostałość po najstarszej obwodnicy

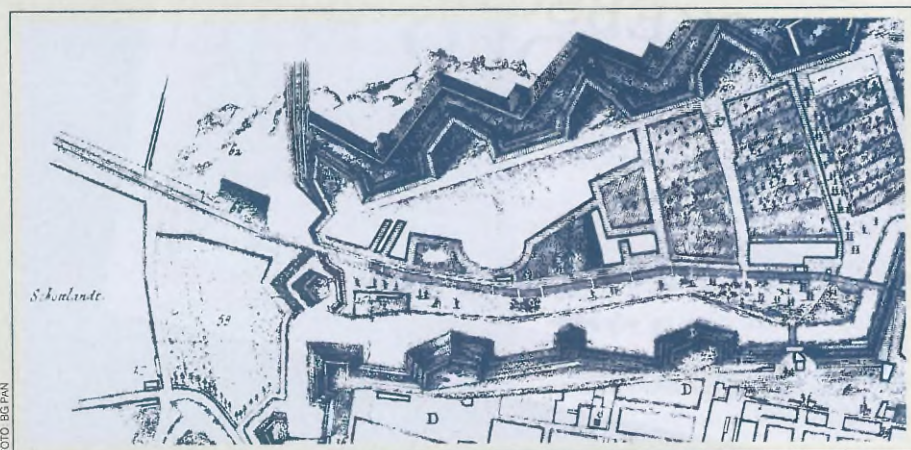
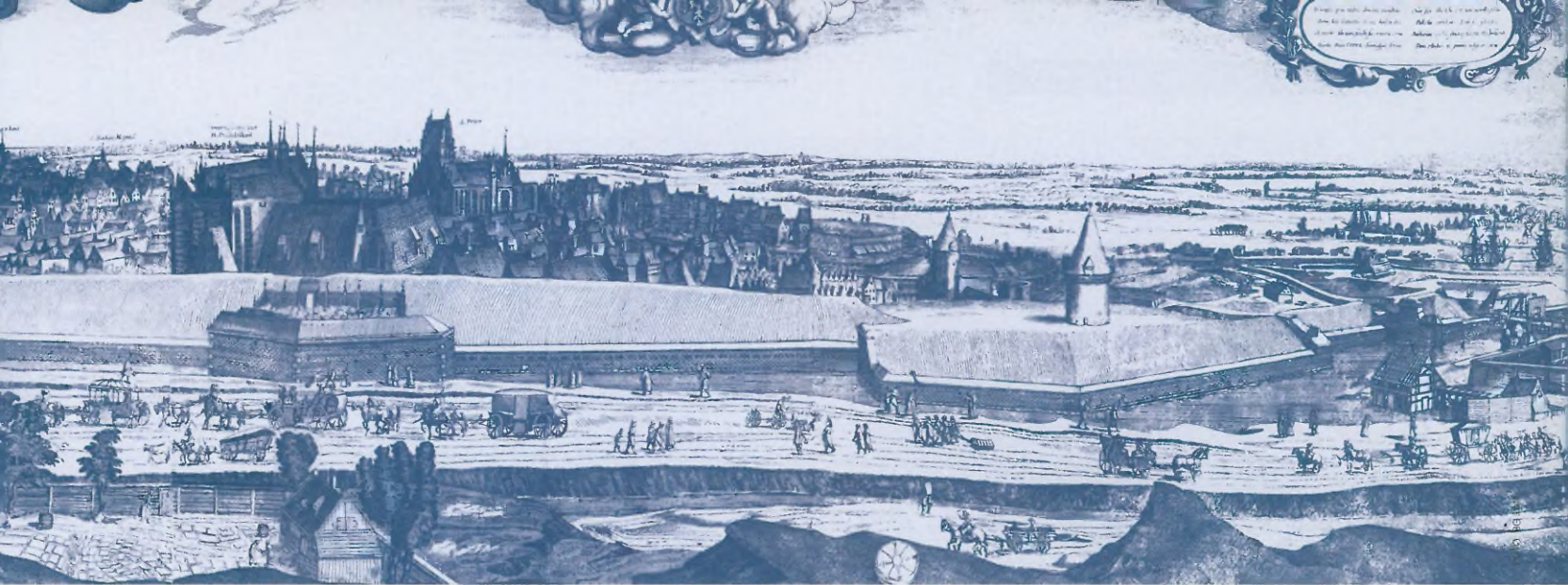


Foto: BGPAN
Fragment planu Gdańska według Willera, około 1687 roku, ukazujący przebieg drogi okrężnej w tamtym czasie, od Bramy Oruńskiej po Bramę Wyzynną

Gdańska. Od niedawna grzbietem nasypu prowadzi urokliwy, klinkierową cegłą wyłożony ciąg spacerowy. Dzięki temu zapomniana arteria w środku gdańskiego centrum znów ma szansę ożyć, tym bardziej, że zagospodarowany został również teren sąsiadującego z nią kanału Raduni. Odnowione mostki nad wodą, uporządkowany fragment podziemnego tunelu pod nasypem przyciągają wzrok i intrygują.



Widok Gdańska z Biskupiej Górki z 1620 roku, na pierwszym planie droga okrężna pod murami miasta, po prawej na skraju fragment zabudowy szpitala św. Gertrudy, rycina Piscatora

Do serca grodu nad Motławą od południa można się było dostać poprzez bramy i umocnienia Starego Przedmieścia. Już jednak na najstarszych planach i panoramach Gdańska z przełomu XVI i XVII wieku widać szeroki i przestronny trakt, który poza pasem umocnień, wzdłuż kanału Raduni docierał bezpośrednio w rejon Bramy Wyżynnej, pełniącej wówczas rolę najważniejszej bramy wlotowej do miasta. Ta swoista miejska obwodnica prowadziła zresztą jeszcze dalej na północ. Już za zabudowaniami szpitala Bożego Ciała łączyła się z gościńcami wychodzącymi w kierunku Wrzeszcza i Oliwy z północnych bram Starego Miasta. Taki układ komunikacyjny nie powstał z dnia na dzień, lecz formował się przez kilka wieków, poczynając od XIV stulecia (budowa kanału Raduni) po wiek XVI (wzniesienie wałów i bastionów od zachodu osłaniających zespół miejski Gdańska).

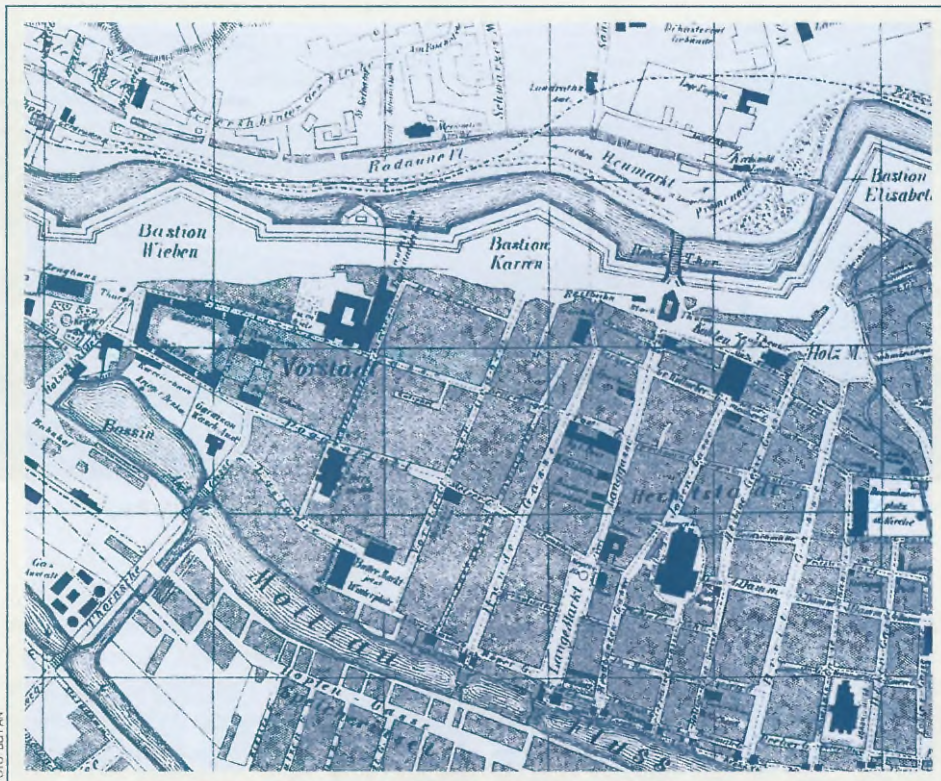
Inwestycje te w znacznym stopniu zawęziły wolny, nieumocniony obszar pomiędzy miastem a łańcuchem wzniesień Biskupiej i Gradowej Góry. Był on szczególnie wąski u stóp należącej do Kościoła Biskupiej Górki. Droga okrężna przechodziła tutaj przez niezbyt szeroki przesmyk między kanałem Raduni a fosą. Na starych panoramach, na rycinach Idziego Dickmanna i Piotra Willera trudno dopatrzeć się jakiegokolwiek bitej jezdni w tym międzywodnym obszarze. Karety, powozy, wozy ładowe, chłopskie furmanki i piesi – wszyscy poruszali się całą szerokością owego przesmyku, im bliżej Bramy Wyżynnej, tym większą zajmującego przestrzeń. Zmieniał on swój bieg stosownie do „wybrzuszeń” omijanych po drugiej stronie fosy bastionów (w tym zwłaszcza Karowego). W końcu, u wylotu mostu z Bramy Wyżynnej (ukończzonej około 1588) rozszerzał się w plac Targu Krowiego (Ochsenmarkt) oraz Końskiego (Pferdmarkt). Z targów tych powstał później Targ Sienny (Heumarkt). Przez most nad fosą i system bram od Wyżynnej po Zło-

tą wjeżdżano następnie na reprezentacyjne ulice Gdańska. Tym samym trakt przed wałami stanowił uzupełnienie Drogi Królewskiej, bo przecież orszaki monarchów i innych dostojników tędy właśnie zmierzały do wrót dumnego emporium. Przez przerzucone nad kanałem Raduni mostki z obwodnicy

wychodziły drogi: do Chełma, Biskupiej Górki, Zaroślaka (Peterszawy). Na stosunkowo krótkim odcinku pomiędzy Zaroślakiem a Targiem Siennym bywało tych mostków do dziesięciu. Nadawały tej części Podgórze wygląd jakby żywcem przeniesiony znad lagun Wenecji. Równie malowniczo przedstawiały

Fragment planu Buhsego z 1866-69 ukazujący najwęższy odcinek drogi okrężnej między Biskupią Górką a wałami miasta





Kolejny fragment planu miasta, tym razem z roku 1880 (R. Labes) ukazujący drogę okrężną i poprowadzoną równolegle linią kolejową

się zjazdy, którymi podróżni i mieszkańcy miasta mogli dotrzeć nad brzeg fosy (napoić konie? łowić ryby? z całą pewnością natomiast – pojeździć zimą na łyżwach). Zakole fosy, wymuszone poprzez masywny kształt

bastionu św. Elżbiety, zamykało tę przestrzeń od północy i modelowało zmianę kierunku drogi okrężnej na równoleżnikowy (mostkiem nad kanałem z Targu Końskiego na Targ Rakowy, następnie poprzez początk-

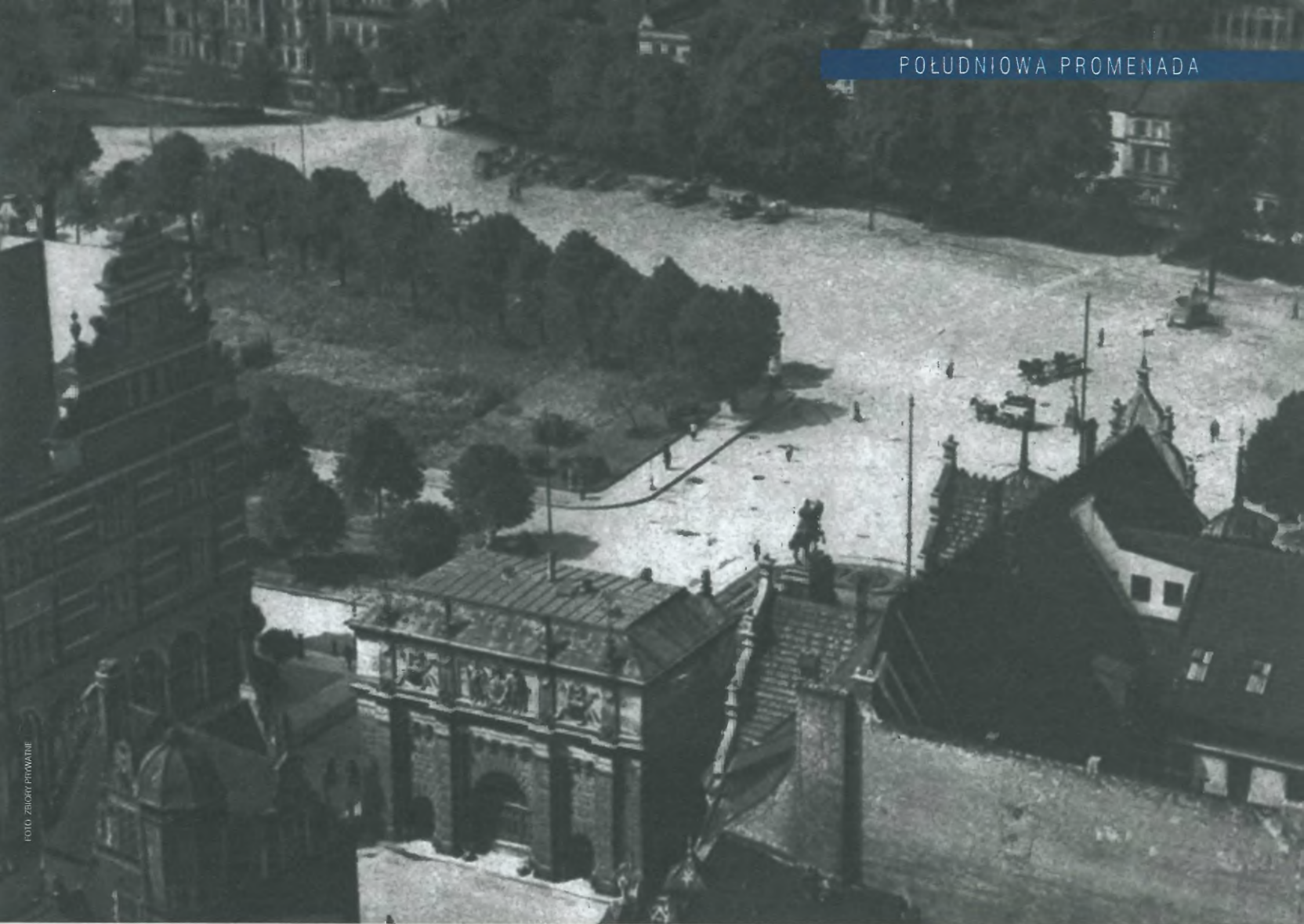
kowy fragment Nowych Ogrodów), by następnie znów ostro zakreślić na północ i przeprowadzić ją obok miejskiej strzelnicy i szpitala Bożego Ciała, na zachód od Starego Miasta.

Powróćmy jednak do odcinka między fosą a kanałem. Ograniczona „przelotowość” stosunkowo wąskiego przesmyku nie pozwoliła na jakąkolwiek zabudowę tej części pozamiejskiej drogi. Z małym wyjątkiem: w przestrzeni między miastem a kanałem u stóp Biskupiej Górki wyrósł zespół szpitala św. Gertrudy. Przez ponad dwa wieki, pomiędzy XIV a XVI stuleciem, zespół ten znajdował się w zupełnie innym miejscu, na lewym brzegu kanału Raduni, mniej więcej naprzeciwko wylotu Bramy Długoulicznej (Bramy Wyżynna i Złota wówczas jeszcze nie istniały). Jego lokalizacja nie była przypadkowa, bo służył przede wszystkim potrzebującym pomocy podróżnym. Przeznaczony był również dla zakaźnie chorych.

Wspomniane powyżej przebudowy układu fortyfikacji miejskich wymusiły konieczność przeniesienia szpitalnych budynków w inne, przestronniejsze miejsce. Wybrano plac na prawym brzegu kanału, u podnóża Biskupiej Górki, w pobliżu fosy osłaniającej najdalej na południe wysunięty fragment Starego Przedmieścia. Formalnie teren ten liczył się do położonej na przeciwległym brzegu kanału wsi Zaroślak. Nowe budynki

Droga okrężna na rycinie Idziego Dickmanna z 1617 roku, widok od Bramy Wyżynnej w stronę Oruni





Widok na Targ Sienny i początek Promenady nad kanałem Raduni, ok. 1910

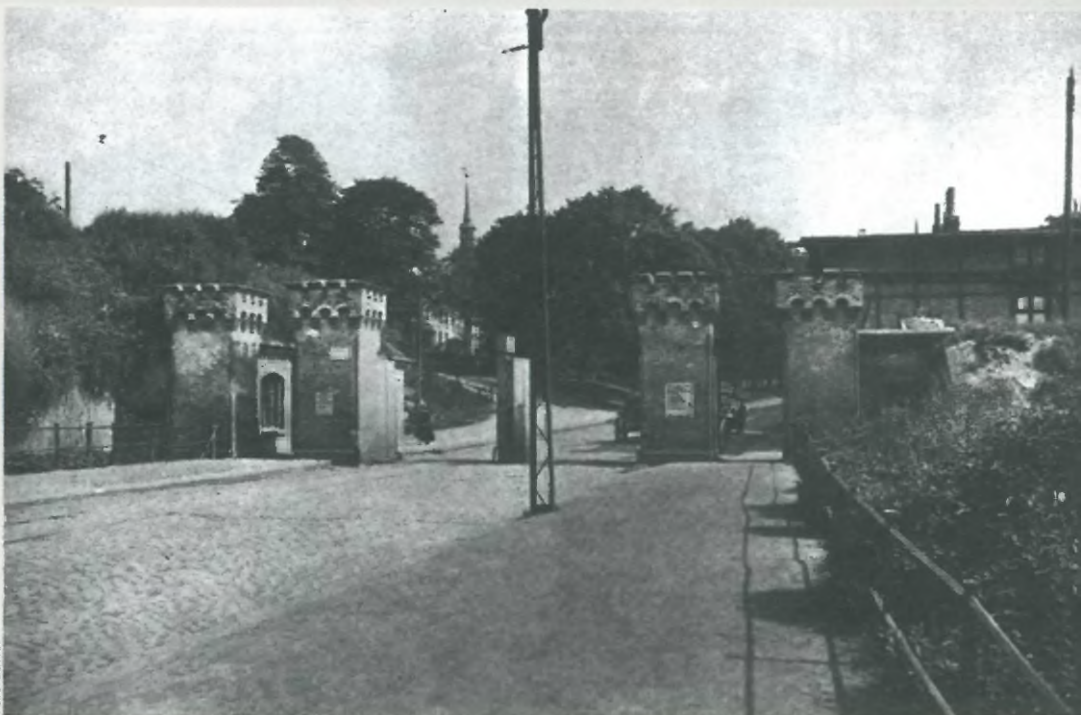
szpitala wzniesiono w latach 1581-82. Powstał charakterystyczny, podłużny, kalenicy budynek o konstrukcji szkieletowej, mieszczący oprócz sal szpitalnych również kaplicę. Całość obwiedziona została wysokim, drewnianym parkanem. Pieczę duchową nad zespołem powierzono duchownym z luterańskiego kościoła Zbawiciela na Zaroślaku. Przy szpitalu rozpoczynała się nasza „obwodnica”. Pomiędzy drewnianym parkanem a kanałem była niemal tak wąska, jak wąskie bywają ulice. Na rycinach Dickamanna widać gorączkowy ruch powozów, koni, przechodniów, widać niemal dokładnie ludzkie twarze owiane kurzem wzbitym spod końskich kopyt.

Trzeba było wielu dalszych przekształceń, aby ta swoista przestrzeń komunikacyjna przybrała postać ucywilizowanej miejskiej arterii. Przyspieszyło ten proces zagrożenie wojnami szwedzkimi. Umocniona została przede wszystkim bryła Biskupiej Górki. Między fosą i Bastionem św. Gertrudy z jednej, a osłaniającym Biskupią Górkę tzw. „dziełem koronowym” z drugiej strony, stanął wał wraz z nową bramą, którą nazwano Bramą Peterszawską (Petershagener Tor), bardziej nam dzisiaj znaną pod pojęciem Bramy Oruńskiej. Od północy obszar Podgórze zamknęła bliźniacza

Brama Oliwska. Dotychczasową drogę okrężną spotkał zatem los wszystkich miejskich obwodnic – prędzej czy później „oswajanych” i wchłanianych przez rozrastający się organizm miejski. Przy Bramie Oruńskiej strażnicy miejscy pobierali ak-

cyzę od konkurencyjnych towarów z obszaru podmiejskich majątków. Po pierwszym rozbiórze Polski mieścił się tu budynek urzędu celnego (Acciss und Zollhaus Wache), wkomponowany opodal bramy w groblę kanału Raduni.

Brama Oruńska, widok w stronę miasta, w głębi wieżyczka kościoła Zbawiciela, po prawej odnowione zabudowania dawnego szpitala św. Gertrudy, 1919



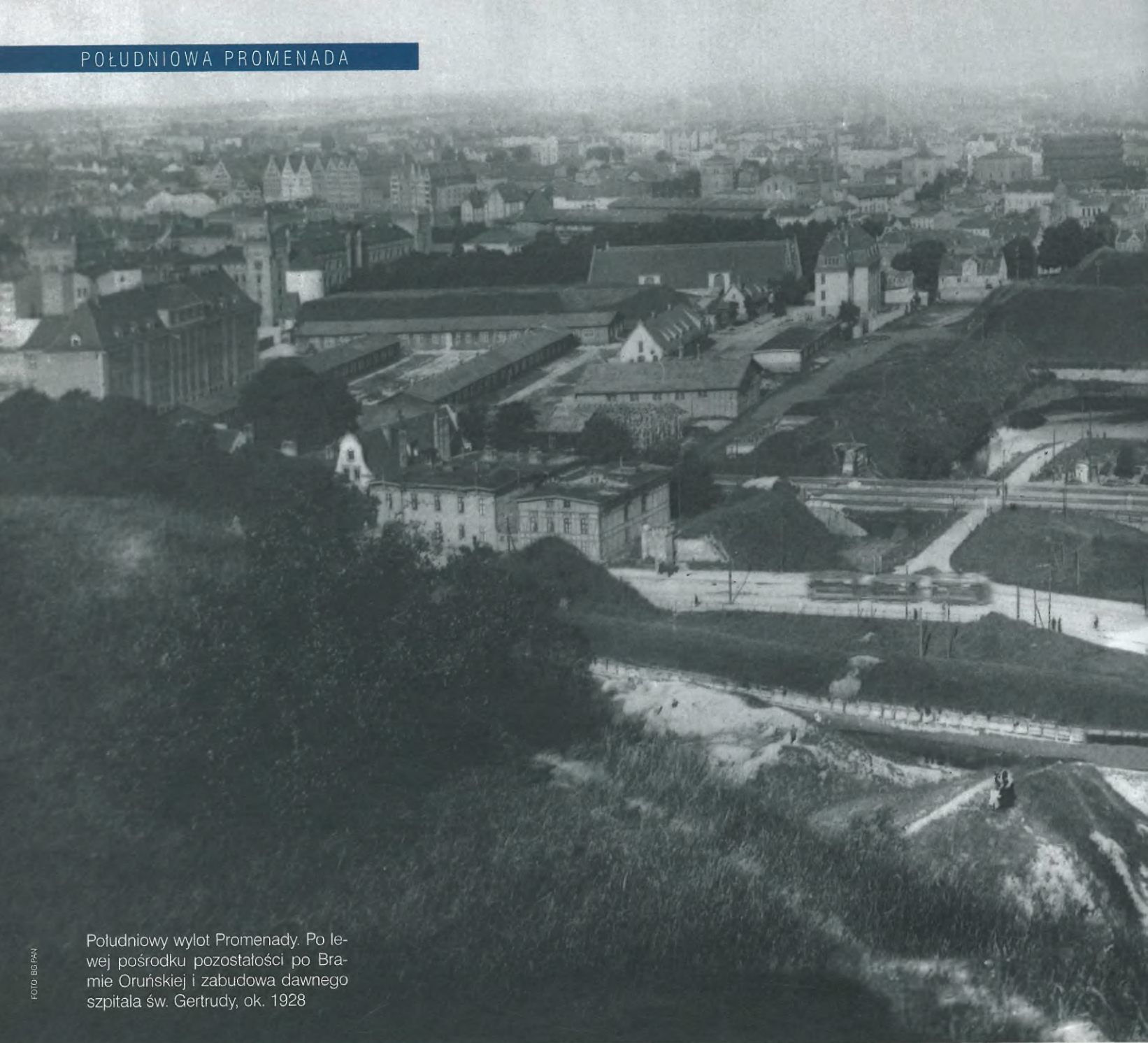


FOTO: BG PAN

Południowy wylot Promenady. Po lewej pośrodku pozostałości po Bramie Oruńskiej i zabudowa dawnego szpitala św. Gertrudy, ok. 1928

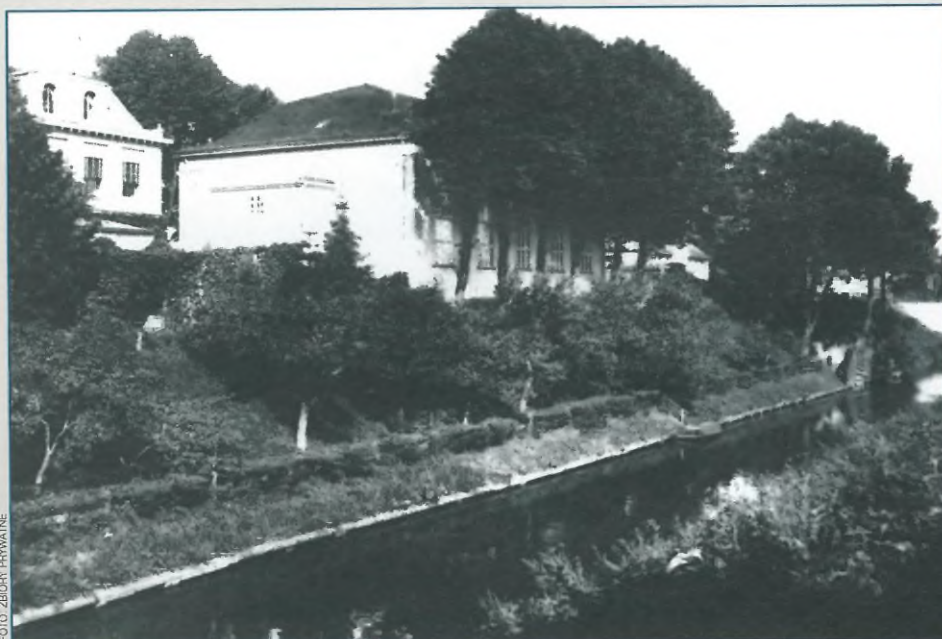
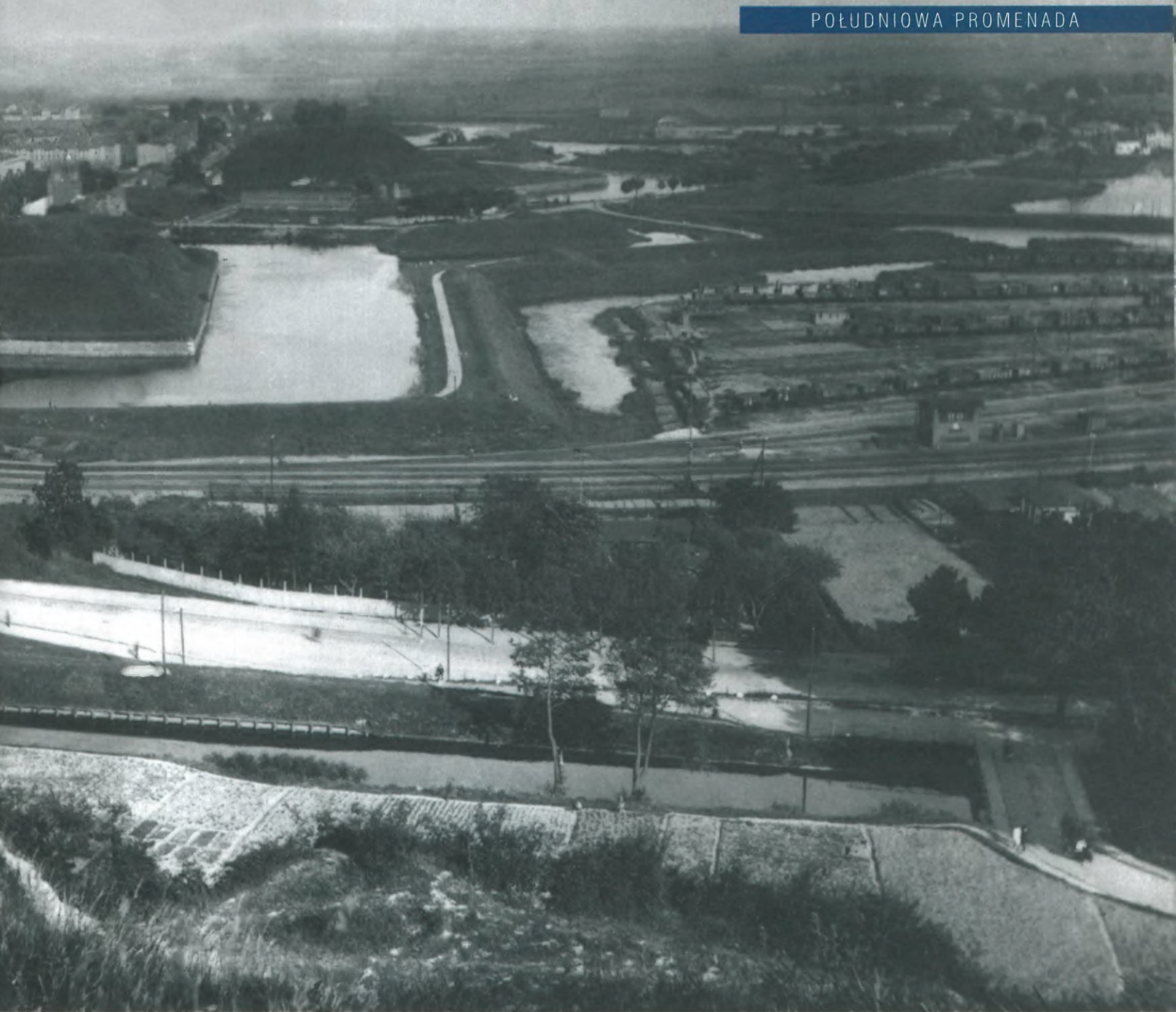


FOTO: ZBIORY PRYWATNE

Widok z Promenady Południowej na kościół menonitów, ok. 1920

Wojny napoleońskie wywarły szczególne piętno na przyfortyfikacyjnym obszarze. Opisujać obłężenie z roku 1807 Walenty Wolski odnotował w swoim pamiętniku, że z powodu ostrzału z francuskich baterii na Żydowskiej Górze „najstraszniejszy był widok (zniszczeń – przyp. autora) przed bramami, osobliwie przy Peterszawskiej”. Zniszczone budynki szpitala św. Gertrudy odbudowano w nowym kształcie, zachowując jedynie typowy dla dawnych budowli mur pruski.

Po zawieruchach wojennych z początku XIX stulecia przystąpiono do dalszej przebudowy układu drogowego w rejonie Gdańska. W latach 1819-23 zbudowano pierwszą z prawdziwego zdarzenia szosę między Gdańskiem i Pruszcem. W obrębie Gdańska droga ta prowadziła przez Podgórze, wytyczając utwardzoną jezdnię przyszłej promenadowej alei. Brukowana jezdnia po



przekroczeniu rogatek miasta w Bramie Oruńskiej omijała od wschodu budynki szpitala św. Gertrudy i trzymała się następnie linii kanału Raduni, razem z nim docierając do Targu Siennego. Stąd przez Targ Rakowy i Nowe Ogrody (oczywiście w dużym uproszczeniu) łączyła się z północną częścią Promenady. Zwyczajem tamtego czasu przyozdobiono ją rzędami drzew. Nazwa Promenady pojawiła się na planach miasta po roku 1880.

Dzięki przebudowie dawnego szpitalnego zespołu w przesmyku między kanałem a fosą pozostała jeszcze spora przestrzeń do zagospodarowania. W roku 1867 przebito zatem wał przy Bramie Oruńskiej i wzdłuż fosy (pomiędzy nią a szpitalem) poprowadzono linię kolejową z Oruni (i Teczewa) przez zachodni skraj śródmieścia (dawnie Podgórze), Nowe Szkoty, Zaspę do Nowego Portu (później powstało również połączenie w kierunku Koszalina). Linia ta w części połu-



FOTO JERZY KRZYSZTOFA GRUNDEFA

Zabudowa i kościół Zbawiciela na Zaroślaku po drugiej stronie kanału Raduni płynącego równolegle do Promenady Południowej. Po lewej widoczny fragment nieistniejącego wiaduktu nad torami w ciągu ulicy Augustyńskiego, nad przystankiem kolejowym Zaroślak, 1913

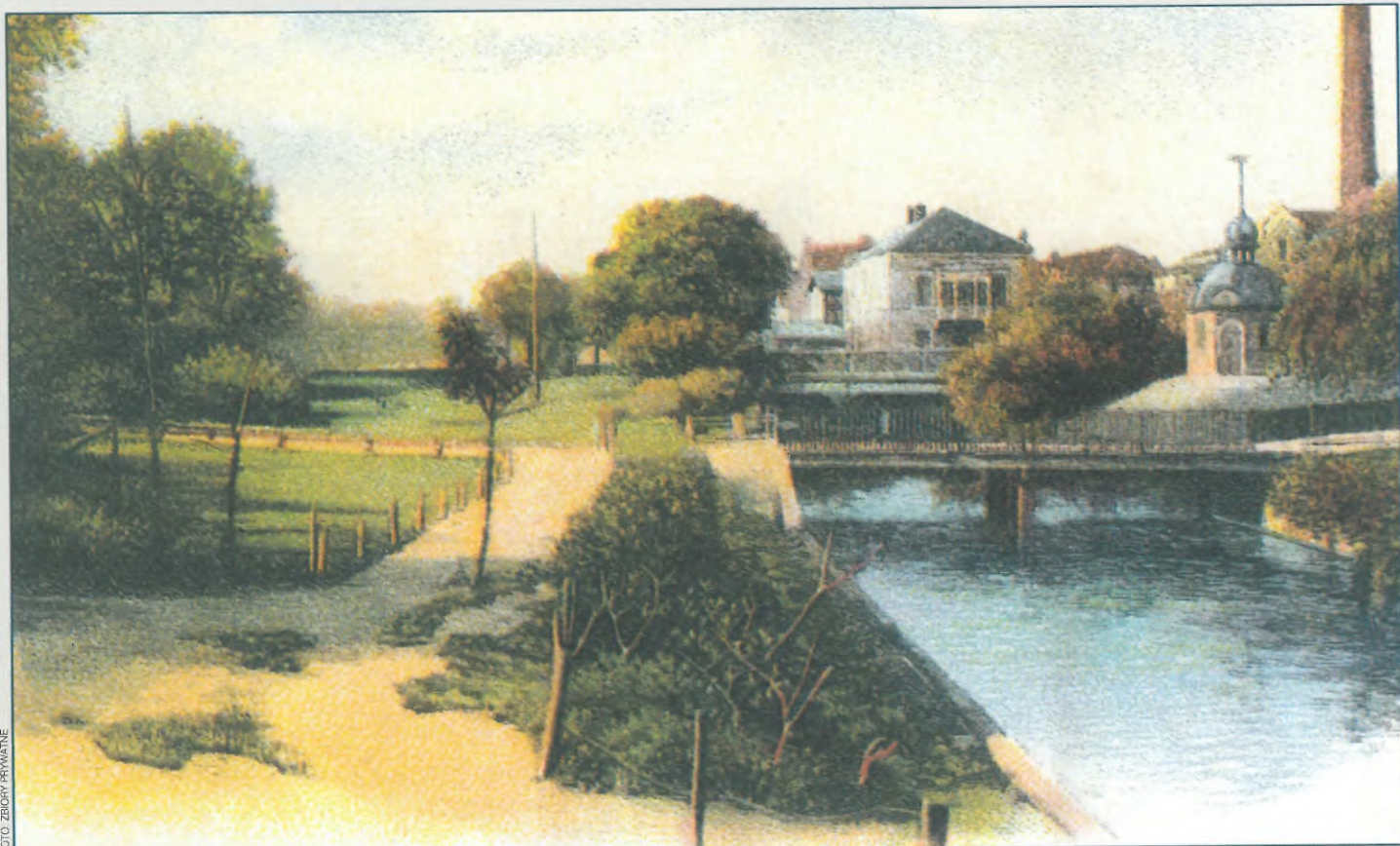


FOTO ZBIORY PRYWATNE

Powyżej: Promenada Południowa nad kanałem Raduni, fragment między kościołem Zbawiciela, a nieistniejącą ulicą Stawki. Na litografii z 1820 roku, po prawej, widoczna kaplica grobowa kupca Wagenfelda (zwieńczona kopułą). W tym miejscu był stary cmentarz Zbawiciela. Poniżej: Zabudowa na Zaroślaku przy kanale Raduni (dziś kamienica Na Stoku pod numerem 40), ok. 1935



FOTO ZBIORY PRYWATNE

dniowej Podgórze biegła nad fosą w wykopie równoległym do nasypu Promenady. W rejonie skrzyżowania z nieistniejącą obecnie ulicą Stawki przechodziła tunelem na drugą stronę promenadowej alei.

Stanowiący zwornik pomiędzy południową a północną częścią Promenady Targ Sienny jeszcze do początków XX wieku stanowił swoiste miejsce parkingowe dla licznych furmanek i powozów. Wkrótce potem

stał się ważnym węzłem komunikacyjnym, gdyż poprzez Promenadę poprowadzono linie tramwajowe i autobusowe. Od roku 1878 w kierunku południowym jeździł tramwaj konny (od 1896 roku elektryczny) nr „3”, do



FOTO: SŁAWOMIR KOŚCIELAK

Powyżej: Nasyp na którym biegła Promenada, stan przed budową alei spacerowej, 1998.
Poniżej: Zmodernizowany fragment Promenady, 2003



FOTO: SŁAWOMIR PULTYN

Południowy fragment dawnej Promenady Południowej z pozostałością po kościele Zbawiciela, 2003

duktem stracił na znaczeniu, choć jeszcze przez kilka lat (do roku 1971) prowadziła tędy linia tramwajowa (śląd po jej zjeździe pod nowy wiadukt widoczny jest do dziś), a na Chełm zmierzał autobus nr „108”. W roku 1972 ten fragment pradawnej „obwodnicy” zamarł jednak na dobre. Pozostał po niej nasyp, wkrótce odcięty od Placu 1 Maja (Targu Siennego) i śródmieścia nową, monumentalną inwestycją – budową Trasy W-Z (al. Armii Krajowej). Znikły tory tramwajowe i bruk, pozabierano chodnikowe płyty.

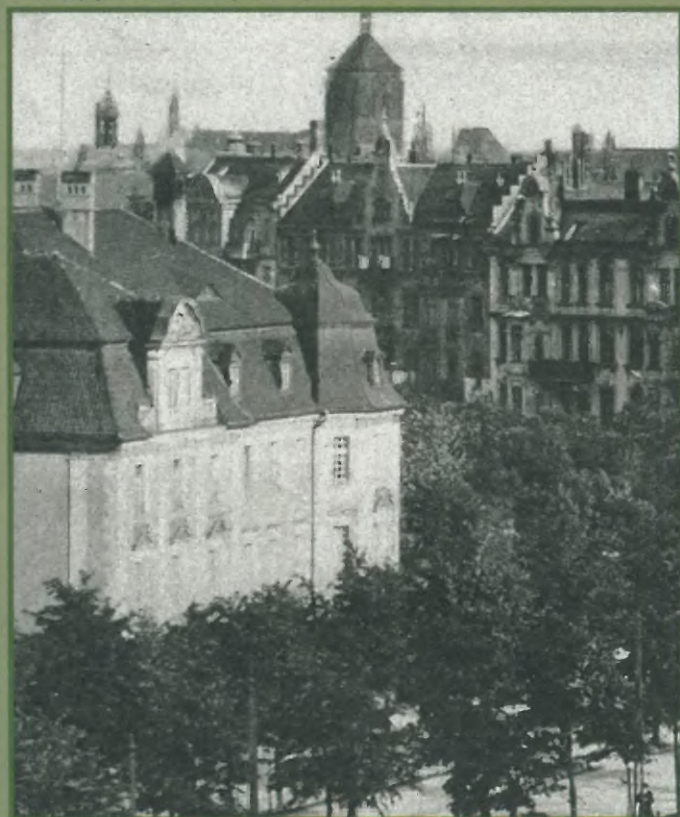
Ta niebanalna historia ma jednak dobre zakończenie. Stopniowa modernizacja otoczenia kanału Raduni, rozpoczęta u schyłku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, dotarła wreszcie i w ten rejon miasta. Brzegi kanału opłotły klinkierowe ścieżki spacerowe, taki sam ciąg spacerowy rozciągnął się na piaszczystym nasypie. Uporządkowano zejścia, schodki, wyremontowano mosty. Odnowiony, pełen zagadkowych zaułków i pomieszczeń, fragment dawnego fortecznego przejścia. Aż prosi się o jakąś działalność handlową bądź gastronomiczną. Trzeba jeszcze trochę lat, aby te wszystkie plany zostały urzeczywistnione do końca. Ale nowe wcielenie tego królewskiego niegdyś traktu staje się powoli faktem. I dopiero teraz będzie to najprawdziwsza nadwodna promenada, bo według słownikowej definicji, promenada to nic innego jak miejsce przeznaczone na spacer, a więc aleja, szpaler, deptak. ■



Panorama z G



Budynek lazaretu przy ulicy Dyrekcyjnej z charakterystyczną wieżyczką
Willi przy Placu Hanzy (Prezydenta Senatu)



Panorama, którą publikujemy na następnych stronach, stanowi zapewne ciekawe uzupełnienie tej panoramy, którą pokazaliśmy w ubiegłym roku, w numerze lipcowo-sierpniowym. Wykonana została z Grodziska i znów umiejętnie skomponowana z kilku ujęć.

Oba te zdjęcia, ale też dziesiątki innych, zdają się świadczyć o sporej fascynacji ówczesnych gdańszczan nowym miastem, które wyrastało na ich oczach i od zachodu zaczęło otaczać dawne, stare centrum. Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych XIX wieku uzyskano wreszcie zgodę na zniwelowanie wałów i rozbiorę umocnień, pojawiła się możliwość zagospodarowania nowych terenów. I właśnie tu, od strony zachodniej powstała najbardziej reprezentacyjna część nowego centrum nowoczesnego

miasta. Tempo zmian było zapewne imponujące, skoro ten fragment miasta powstał w kilkanaście lat, wliczając czas potrzebny na likwidację obwałowań. Wydaje się całkowicie zrozumiałe, że tę zabudowę uwieczniano na wielu zdjęciach, pocztówkach i panoramach.

Panorama, którą publikujemy na następnych stronach, ma nadrukowane coś w rodzaju wydawniczej sygnatury: „Dr. Trenkler Co., Leipzig, 1908, Dzg. 88”. Tak się szczęśliwie składa, że przed kilkoma miesiącami ukazała się książka Piotra Popińskiego i Roberta Hirsza „Dawny Gdańsk na pocztówkach wydawnictwa Trenkler” (była anonsowana w „30 Dniach”), dzięki czemu dość sporo wiemy o pocztówkach tego wydawcy. Wiemy, że firma Trenkler działała w Lipsku od 1894 roku, a „pierwsze

Kamienica z wieżyczką przy wylocie Nowej Korzennej



rodziska

domów bardziej na prawo, co jest gorzej widoczne, do Podwala Grodzkiego dochodzi ulica Karmelicka i, znów nieco w prawo, odnajdujemy wylot ulicy Elżbietańskiej. Poruszając się wzdłuż głównego traktu komunikacyjnego, zauważymy, że na zdjęciu nie ma jeszcze budynku Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia przy Walach Jagiellońskich.

Po prawej widzimy budynki Szkoły Wojennej przy ulicy 3 Maja, a bardziej w głębi gmach Głównej Komendantury, który później stał się siedzibą Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, a po II wojnie światowej klubu „Żak”. Widok sięga aż po ulicę Okopową i dalej, po kościół Sw. Trójcy na Starym Przedmieściu. W tle panoramy wybijają się wielkie, historyczne budowle Starego i Głównego Miasta, głównie kościoły.

Panoramę wykonano z Reduty Napoleońskiej na Grodzisku, jak podaje Popiński. Fotograf wykonał prawdopodobnie dwa ujęcia, które zostały potem bardzo dokładnie połączone. Wydaje się, że wykonał je z jednego miejsca, a drobne zmiany w perspektywie dotyczą tylko prawej strony panoramy.

Ciekawy panoramiczny widok Gdańska z 1908 roku publikujemy dzięki uprzejmości pana Grzegorza Sandelewskiego z Łodzi, który udostępnił nam i przesłał do reprodukcji tę nietypową pocztówkę. ■

znane karty lipskiego wydawnictwa utrwalające dziewiętnastowieczny Gdańsk powstały w końcu 1898 roku”. Wiemy, że ten nakładek wydał wiele serii i cykli gdańskich pocztówek. Popiński i Hirsch oceniają, że Trenkler mógł wydać w dziesięciolecie 1898-1908 około sześciuset-siedmiuset kart, na których znalazły się widoki Gdańska i Sopotu. Przygotowując swoją książkę dysponowali materiałem przekraczającym pięćset pocztówek, z których część stanowiły te same ujęcia, tyle, że różniące się kolorem lub oprawą graficzną, a więc pochodzące z różnych wydań. W każdym razie lipskie wydawnictwo było w tamtym czasie najważniejszym edytorem gdańskich pocztówek.

Panorama z Grodziska, jak wiele na to wskazuje, pochodzi z 1908 roku, a więc z końcowego okresu działania firmy Trenklera (przynajmniej pod tą nazwą, gdyż Popiński i Hirsch przypuszczają, że jej kontynuacją była firma Trinks a. Co.).

Co możemy zobaczyć na tej panoramie?

Kiedy patrzymy od lewej, widzimy budynek z charakterystyczną wieżyczką. Jest to zapewne dawny lazaret miejski przy ulicy Dyrekcyjnej, który został rozebrany przed 1912 rokiem, aby uzyskać miejsce pod gmach nowej Dyrekcji Kolei. Na dalszym planie, po lewej stronie, widoczne są tereny stoczniowe, a nieco bliżej Plac Hanzy, przy którym stoi Szkoła Realna Piotra i Pawła (po II wojnie I Liceum Ogólnokształcące). Duży, biały gmach przy Placu Hanzy, to ten sam budynek, który w okresie Wolnego Miasta będzie nazywany willą Prezydenta Senatu. Od Placu Hanzy, a właściwie od kamienicy z wieżyczką przy wylocie Nowej Korzennej, rozpoczyna się pierzeja zabudowy Podwala Grodzkiego. W tym czasie jest już zwarta i chyba kompletna.

Pośrodku widzimy kompleks dworcowy, a za nim wylot nieistniejącej ulicy o nazwie Targ Kaszubski. Kilka

Wylot Targu Kaszubskiego



Zabudowa przy ulicy Okopowej





Panorama G



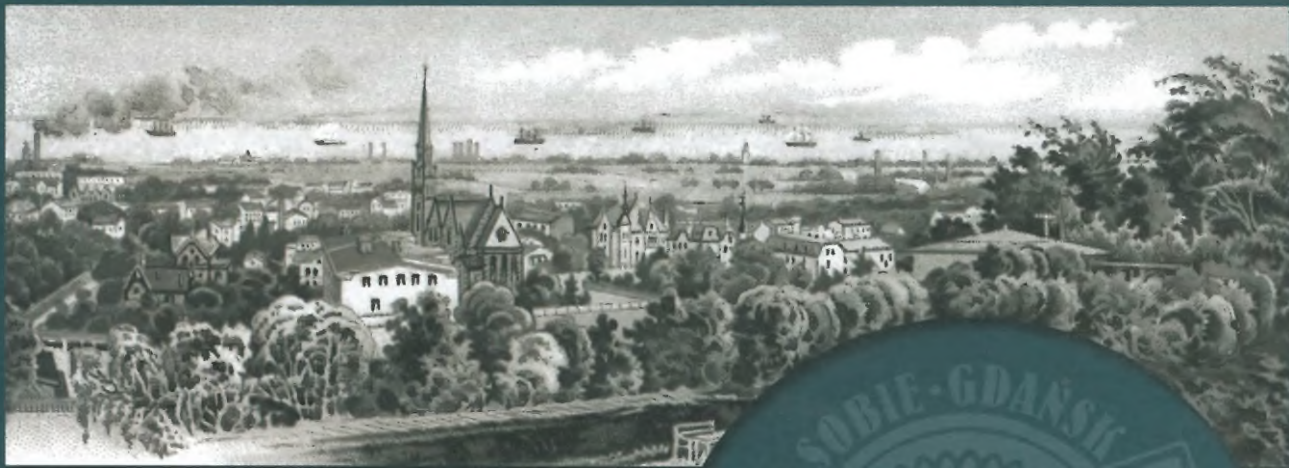
Gdańska z początku XX wieku, wy



dana przez wydawnictwo Trenk



era w Lipsku



Wielowątkowy charakter Wrzeszcza widoczny jest także dzisiaj. Okolice dawnego rynku to najbardziej wielkomiejska część Gdańska, pośród wzgórz zachowała się atmosfera kurortu i leśnych parków, a duch Wolnego Miasta odczuwalny jest wyraźnie w Grassowskiej części Dolnego Wrzeszcza. Zarówno przed wojną, jak i w polskim czasie funkcjonowały tu ważne instytucje życia publicznego: Politechnika, „Conradinum”, garnizon, lotnisko, browar, sportowe centra, Akademia Medyczna, opera, radio i telewizja. I cmentarze, z których tylko nieliczne ocalały z powojennego zacierania śladów historii.

Zrozumiałe zatem, że wrzeszczanie to ludzie dumni ze swojego kawałka Gdańska. I właśnie oni najbardziej natarczywie domagali się od nas, autorów serii „Był sobie Gdańsk”, ciągle to nowych zdjęć ukochanej dzielnicy. „Więcej Wrzeszcza!” – to zawołanie godne Goethego słyszeliśmy po każdej premierze kolejnego tomu. Usiedliśmy więc ponownie nad naszymi zbiorami, z pomocą ruszył znany kolekcjoner i wydawca pan Krzysztof Grynder i wspólnie uznaliśmy, że Wrzeszcz wart jest mszy i własnego albumu. Mniejszy format książki nie wynika, broń Boże, z niedostatku szacunku, po prostu wiele zdjęć ze względów technicznych nie nadaje się do powiększania, ale wierzymy w wyrozumiałość naszych czytelników.

Jeśli zaakceptujecie Państwo nasz pomysł prezentowania przedwojennych zdjęć dzielnic, pokusimy się być może o następne albumy. W kolejce czeka już Oliwa. Ale, jak zawsze do tej pory, kluczem do decyzji o nowej publikacji jest pozyskanie zdjęć szerzej nieznanych, dotąd nie prezentowanych w naszych książkach. Album o Wrzeszczu ten warunek spełnia: zdecydowana większość zdjęć będzie dla naszych czytelników niespodzianką, nowym ujęciem, a czasem zupełnym zaskoczeniem.

ze wstępu Donalda Tuska



*

160 stron

*

ponad 120 zdjęć

*

wysoka jakość druku

*

cena 48 zł

*



„Był sobie Gdańsk” krok po kroku
czyli dawne dzielnice

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI

Tekst: Dawid Reizner

CZAROWNICE nad Gdańskiem

„Weil aber Gott der Allmächtige der Weltlichen Obrigkeit dass Schwerdt in die Handt gegeben, dass gutte zu schützen und bösses zu straffen”.

„Albowiem Bóg Wszechmogący dał świeckiej władzy miecz do ręki, aby dobre chronić, a złe karać”.

Cytat z sentencji wyroku wydanego w 1603 roku



FOTO: ARCHIWUM

Diabeł, płaskorzeźba z kamieniarki dawnej Bramy św. Jakuba, wmurowana w ścianę Katowni

W XVI i XVII wieku strach przed diabłem i jego współpracownikami wywoływał w Europie Zachodniej prawdziwą histerię. Podczas organizowanych polowań na czarownice zginęło na stosach kilkadziesiąt tysięcy kobiet. Fala niebywałych prześladowań przeszła przez wszystkie kraje i jeszcze w osiemnastym stuleciu pochłonęła wiele ofiar. Panowało ab-

solutne przekonanie, że diabeł szkodzi człowiekowi na ziemi poprzez działanie swoich służek – czarownic. Wyobrażenia naszych przodków zaludniała świat mocami, wobec których człowiek czuł się bezsilny. Panowało przeświadczenie, że wchodząc w pakt z diabłem otrzymuje się od niego władzę nad częścią rzeczywistości i można bezkarnie szkodzić bliźnim. Wiele nieszczęść przy-

pisywano bezpośredniemu działaniu czarownic, były to: choroby (szczególnie zaraża), pomory bydła, burze, gradobicia, ale również zaburzenia seksualne.

Czarownice pomagały szatanowi opanować człowieka, mogły wprawiać jego ciało w drżenie, kazać mu ryczeć, bluźnić, a nawet pluć na krzyż. Niebezpieczną bronią w rękach służek diabła miało być rzucanie uroków. Według wierzeń ludowych urok to szkodliwa siła magiczna, którą ludzie przekazują w spojrzeniu lub słowie. Bardzo podatne nań są zwierzęta – konie, świny, gęsi, a także dzieci, dziewczęta, panny młode i położnice. Mówiło się o tych, co rzucają uroki, że mają złe oczy. Odporni na ich działanie byli tylko ci, którzy urodzili się w środy i soboty. Na Kaszubach częstą praktyką było przywiązywanie czerwonych wstążek do sprzętów, zwierząt i ludzi, jeśli chciało się przed złem uchronić. Złego ducha można było komuś zadać w tabace lub owocu.

Czarownicę rozpoznawano po tym, że godzinami mogła patrzeć w słońce, uwielbiała kolor czerwony, a na nogach nosiła duże, drewniane trepy. Nie potrafiła przejść przez miotłę położoną przez próg, uciekała także przed święconą wodą i nie mogła utonąć, bo ją diabeł utrzymywał na powierzchni (stąd bezsensowna próba wody, podczas której wrzucano oskarżoną o czary do rzeki – jeśli wypłynęła na powierzchnię, była czarownicą, jeśli utonęła, ogłaszano ją niewinną). „Badając” oskarżone o czary kobiety, śledczy szczególną uwagę zwracali na

wszelkie znamiona i zniekształcenia skórne, również brodawki. Jednym z argumentów świadczących o winie mogły być relacje świadków opowiadających, że w pobliżu oskarżonej widziano zwierzęta uważane za czartowskie, np. kozy. Wierzone, że czarownice potrafiły także ulec przeistoczeniu, przybierając na przykład postać ropuchy. Księża poznawali czarownice na Kaszubach po tym, że „są dupą odwróconą do wójtórza podczas podniesienia”.

Wydany w 1486 roku „Młot na czarownice” (słynny „Malleus Maleficarum”), zyskując ogromną popularność w Europie, stał się dla tropicieli czarownic niezastąpionym poradnikiem do zwalczania służek diabła. Dzieło to rozbudzało strach w rozdartych społeczeństwach, które wychodząc z bezpiecznego średniowiecza wkraczały w okrutny czas pozornej wolności. Nieustanne wojny religijne zachwiały tradycyjnym systemem wartości. Przekonanie o wszechobecności złych mocy stało się powszechne. Opowiadano sobie niewiarygodne historie.

Przybysz z Francji, Karol Ogier, zanotował w swoim „Dzienniku z podróży” opowieść rajcy Zygmunta Kerschensteina („człek zacy i bystry”), że „on i jego sąsiedzi, którzy pod Elblągiem mieli pewne posiadłości, dom i grunty wiejskie, doświadczali nie kończących się szkód od czarowników, którzy zamorzyli przeszło cztery tysiące krów i wołów i to nie trucizną, nie żelazem ani innymi środkami ludzkimi, ale diabelskimi czarami, tak iż bydło owo, całkowicie przed tym zdrowe i silne, w jednej chwili padało, gdy zaś ciała zwierząt rozplatano, nie znaleziono w nich jednej kości całej i nie pokruszonej (...) Ciągnęły się w tych wsiach owe zbrodnie przez lat trzydzieści, wreszcie siedmiu takich czarowników głową za nie przypłaciło. Przyznali się oni przed sędziami, że zły duch zmuszał ich, aby mu tę czy ową zbrodnię wykonać polecił (...). Byli to po większej części luteranie, którzy się tych sztuk nauczyli od dwóch anabaptystów z Holandii przybyłych (mennonici), bo tych bardzo wielu mieszka w owych wsiach pod Elblągiem i Gdańskiem, gdzie się ściągnęli, aby bagna osuszać i uprawiać rolę. Powszechna to wiara, że na tych świeżo osuszonych polach często przemieszkiwują złe duchy, że zwykły one wstręty czynić pracy i pożytkom ludzi, którym zawidzą, i że z trudem można je zmusić do ustapienia z tych miejsc, na których wśród wyziewów i tumanów mgły z ludzi się naigrawają”. (Cytat z „Dziennika podróży do Polski” Karola Ogiera w przekładzie E. Jędrkiewicza).

Kilkakrotnie w ciągu roku, podczas pełni księżyca, czarownice urządzały spotkania na którejś z licznych Łysych Gór. Ulubionymi terminami spotkań służek diabła była

noc świętojańska i noc Walpurgii. Aby zapobiec ich pojawieniu się podczas ludowych zabaw, w noc świętojańską palono ognie, które miały odstraszyć nieproszonych gości. Na Kaszubach wsiami szczególnie lubianymi przez czarownice były: Wierchucino, Smolno, Chałupy, Wielki Kack, Pogórze, Piechowice, Karsin, Rekowo w Bytowskim, Ramleje, Pierszczewo, Rębichowo, Przodkowo, a przede wszystkim Staniszewo. Powtarzano powiedzenie: „Pod staniszewskim mostem kwitnie żółty kwiat, który co wieczór zamienia się w czarownicę”. Uważano powszechnie, że czarami trudniły się przede wszystkim kobiety, one też głównie były skazywane w procesach. Czary, obok bluźnierstwa, zaliczano do najsurowiej karanych przestępstw, z kategorii „przeciwko Bogu i religii”.

Prawo starochełmińskie w jednym z artykułów określa: „czy to są kobiety, czy mężczyźni, którzy zajmują się czarami i którzy potrafią i uprawiają to, że słowami przywołują do siebie diabła. Tych wszystkich należy spalić albo zabić taką śmiercią, jaką sędzia wybierze, a która ma być najsurowsza i wymyślniejsza niż tamte”. Praktyka palenia odstępców od religii, a więc także wyznawców diabła, miała uzasadnienie wynikające z niewłaściwego rozumienia przesłania Pisma Świętego. W Ewangelii św. Jana, w rozdziale XV, wers szósty, napisano: „Jeśli by kto we mnie nie trwał, precz wyrzucony będzie jako latorośl, i uschnie, i zbiorą ją, i do ognia wrzucą, i zgore”. Uważało się również, że jedynie spalenie czarownicy dawało gwarancję jej bezpowrotnego unicestwienia. Sądzone bowiem, iż potrafią one mocą swoich czarów powrócić z grobu do życia.

Kiedy Gdańsk po wojnie trzynastoletniej znalazł się w granicach Królestwa Polskiego, w sprawach sądowych dotyczących prawa kościelnego zmuszony był uznać swoją podległość wobec oficjała biskupów kujawskich, który rezydował w pałacyku na Biskupiej Górze. Pierwsze oskarżenia o czary dotyczące obrazy „naszego Pana Boga”, jakie pojawiły się w tym czasie, łączyła bezpośrednio do sądu biskupiego. Pierwsza sprawa z 1477 roku, spowodowana swarem dwóch sąsiadek, została przez sąd oddalona po ustaleniu okoliczności zdarzenia. Druga, z 1483 roku, została zamknięta. Trzecia z roku 1497, wynikająca z oskarżenia plebana gdańskiego Mikołaja Kikebosch o to, że wydawał hostie dla wykorzystywania jej w praktykach magicznych, również zakończyła się wyrokiem uniewinniającym. Ferujący wyroki sąd oficjała biskupiego nie korzystał z postanowień prawa świeckiego i zazwyczaj nakładał na strony pokutę, grożąc ekskomuniką w razie wznowienia postę-

powania przed sądem miejskim.

Choć Gdańsk nie przeżył tak charakterystycznego dla zachodniej Europy polowania na czarownice, to na przestrzeni XVI-XVII wieku skazano tu za przestępstwa „przeciw Bogu i religii” dwadzieścia osób, w tym trzynastu na śmierć przez spalenie na stosie (często po wcześniejszym ścięciu). Biorąc pod uwagę ogólną liczbę wykroczeń ukaranych śmiercią w tym czasie (621 przypadków), tego typu przestępstwa należały do stosunkowo rzadkich. Osoby stojące przed sądem pod zarzutem kontaktowania się z diabłem nie mogły jednak liczyć na poślusze prawa, ich los był niemal przesądzony, aż 65 procent oskarżonych ginęło. Nie było specyfiką miejsca, lecz czasów, że częściej na stos wędrowały kobiety niż mężczyźni. Stos przewidziany był również jako kara dla naruszających porządek ludzki i boski sodomitów (grzech wobec natury). W tym wypadku śmiercią w płomieniach „karano” również niewinne zwierzę, z którym przestępca dopuścił się zbrodni. Wilkierze podają, że na spalenie narażali się także podpalacze. Sąd zazwyczaj surowy wobec oskarżonych o przestępstwa „przeciw Bogu i religii”, nie zawsze jednak orzekał najwyższy wymiar kary. Niekiedy uznawano, że wystarczy winnego poddać karze solidnej chłosty i wygnać z miasta, czyli wykluczyć ze społeczeństwa uznającego wartości chrześcijańskie. Skazywało go to na żywot wiecznego banity, bowiem ta kategoria przestępców nie mogła liczyć na powrót i łaskę.

Wobec oskarżonych o czary stosowano formułę procesu zwanego inkwizycyjnym. Postępowanie sądowe wszczynało się z urzędu, na podstawie pogłosek, a zeznania uzyskiwano w drodze wymuszeń i tortur. Prawo uchylania wydawanych przez gdański sąd wyroków i amnestii posiadał, podczas pobytu w mieście, polski król lub jego zastępca, burgrabia królewski. Mógł on także domagać się złagodzenia kar jego zdaniem zbyt surowych. Nie stosował jednak tego wobec osób oskarżanych o morderstwa, czary lub sodomie.

Surowość prawa wobec tej kategorii przestępstw wynikała z rygoryzmu religijnego ówczesnych ludzi, tak katolików jak protestantów. Zapadające wyroki miały w znacznym stopniu charakter sakralny, w ich sentencjach posługiwano się formułą stwierdzającą, że oskarżony swoim czynem wykroczył „przeciwko boskim i świeckim prawom” („gegen Göttlichen und Weltlichen Gesetze”). Istniało powszechne przyzwolenie społeczeństwa, aby karząca ręka sprawiedliwości spadała na osoby burzące ład moralny i prawny. Przed każdą egzekucją odczytywano skazańcowi wyrok, powtarzała się w nim formuła: „Jemu, jako pełni

zasłużoną karę, a wszystkim innym jego pokroju ku przestrodze" („ihm zur vollverdienten Straffe und anderen seiner Gattung Diebes-Gesellen zur Warnung").

Widowiska te miały swoisty rytuał, który działał odstraszaюще i dydaktycznie. Każdy z oglądających spektakl śmierci winien wynieść z niego naukę, że po zbrodni zawsze następuje nieuchronna kara. Aby zaakcentować to wyrażnie, place kaźni sytuowano tak, aby wjeżdżający do miasta zawczasu mogli zorientować się co czeka tych, co złamią miejscowe prawo. Stary Gdańsk otaczał wianuszek miejsc i urzędzeń służących do karania przestępców: do wieszania, ścinania, pławienia i palenia na stosie. Szczególnie wiele znajdowało się w pobliżu Katowni. We wspomnianym okresie (XVI-XVII wiek) mieszkańcy Gdańska mogli liczyć na swoiste „theatrum” sprawiedliwości co kilka miesięcy. Egzekucje czarownic odbywały się zazwyczaj na Targu Drzewnym (wedle ustaleń prof. E. Rozenkranza, w tym miejscu stos zapłonął siedmiokrotnie). Przyglądały się im tłumy gapiów.

W księgach Ławy zachowały się akta procesów o czary. Sentencje wyroków kryminalnych spisał pisarz sądu, Georg Reinhold Curicke (syn gdańskiego historyka). Dzięki jego zapobiegliwości, kontynuowanej przez następców, posiadamy obecnie unikalne źródło pozwalające ocenić, w jaki sposób funkcjonował gdański wymiar sprawiedliwości w latach 1558-1783, czyli w okresie ponad dwustuletnim. Ze zgromadzonego materiału wynika, że oskarżonymi w procesach o czary były zazwyczaj ubogie mieszkanki miasta. Wzięte na tortury przyznawały się do stosunków z diabłem, do brania udziału w sabatach, podczas których oddawały się obżarstwu, wyuzdanym tańcom i rozpucie. Opowiadały również o urokach, jakie rzucały na bydło i ludzi.

Przesłuchania odbywały się w podziemiach gdańskiego ratusza, a po 1604 roku w sali zajmującej całe drugie piętro Katowni (iudicium inquisitoriale). W pomieszczeniu tym, o powierzchni 65 metrów kwadratowych, obradował sąd inkwizycyjny, znajdowały się tam także „instrumenta torturarum”, między innymi machina służąca do rozciągania ciała lub jego poszczególnych członków. Pod salą znajdowały się trzy cele: „lis”, „kogut” i „Kain”, gdzie przetrzymywano ludzi przez okres śledztwa. Cele te, nieogrzewane, pozbawione okien, otaczały mury o grubości niemal czterech metrów. Stąd doprowadzano oskarżonych na przesłuchania. Tortury, jakim ich poddawano, polegały najczęściej na szarpaniu ciała rozpalonymi szczypcami, nakłuwaniu szpilami,

przypalaniu, uciskaniu głowy żelazną obręczą i wyłamywaniu kończyn. Ofiary przyznawały się do winy, zwłaszcza że odwołanie wcześniejszych zeznań uruchamiało automatycznie drugą, a następnie trzecią fazę dręczenia. Zachowały się swoiste cenniki usług katowskich z lat 1708 i 1761, przeznaczone dla Gdańska oraz cennik z roku 1660, przeznaczony dla kata z Tczewa (odnowiony w 1706 roku). Za łamanie kołem przewidziano w nim wynagrodzenie w wysokości czterech dukatów, za przypalanie żywcem cztery dukaty, za każde szczypnięcie rozżarzonymi szczypcami jeden dukat.

Czasami jednak kat wnosił do rutynowych czynności pomysłowość rodem z piekła. Ujętemu w 1573 roku czarownikowi ułożono na twarzy i podpalono diabelskie książki, z których korzystał. Na szczycie takiego stosu znajdował się woreczek z cukrem. Kiedy papier zaczął płonąć, roztopiony cukier zalał nieszczęśnikowi oczy. Rzadko okazywano miłosierdzie osobom uprawiającym czarną magię, zazwyczaj nie należały one do darzonych sympatią na długo przed posądzeniem o zbrodnie. Umiejętne przedłużanie cierpień skazanego na śmierć świadczyło o dobrym opanowaniu rzemiosła przez kata. Ponieważ śmierć w ogniu uchodziła za niezwykle bolesną i powolną, niektórzy skazanci starali się rozstać z życiem zawczasu, w więzieniu. Wiele kobiet od spotkania z katem wołało samobójczą śmierć. Świadczy o tym wzmianki w księgach ławniczych.

Udaną próbę samobójczą przeprowadziła w maju 1573 roku kobieta, która podczas tortur przyznała się do wszystkiego. Mimo to, jej martwe ciało dla przykładu postanowiono spalić. W 1586 roku została spalona na stosie Anna, żona Caspara Borckmanna. Wyrok ten zasądzone za „popelnione czary i uprawianie nierządu z diabłem” („began-gene Zauberey, und mit dem Teuffel getriebener Unzucht”). Kolejna czarownica, z roku 1633, została najpierw ścięta mieczem, a następnie spalona. 23 września 1647 roku skazano na stos dwie kobiety, z których jedną uprzednio ścięto.

Do ostatniej egzekucji czarownicy w Gdańsku doszło, jak się przypuszcza, 9 grudnia 1639 roku. Na stos, wzniesiony na dzisiejszym Targu Drzewnym powędrowała osiemdziesięcioośmioletnia, uboga staruszka ze Starego Miasta, Anna Krüger. Mimo że codziennie chodziła do kościoła i była dobrze obeznana w sprawach wiary, sąsiedzi oskarżyli ją o szkodzenie bydłu, nasyłanie złych duchów i uroczenie dzieci. Po długotrwałych przesłuchaniach i pokazaniu narzędzi tortur, co było wstępem do ich użycia, kobieta przyznała się do kontaktów z diabłem o imieniu Klaus. Rzekomo zapisała mu swoją duszę w zamian za przytulny

kąciak w piekło. Anna wykazała skruchę, lecz w niczym jej to nie pomogło, wyrok był surowy – śmierć w płomieniach. W asyście kata i jego pacholców powędrowała na Targ Drzewny. Tu zbudowany był stos. W ostatniej chwili przed podłożeniem ognia kat przywiązał kobiecie pod sercem woreczki z prochem. W ten sposób skrócił jej męki. Choć w egzekucji uczestniczyło wielu gdańszczan, spotkała się ona z niechętnym odbiorem. Pokora starej kobiety i jej wzruszająca beznadziejność zrobiły wielkie wrażenie na zgromadzonych.

Dziś okoliczności śmierci Anny Krüger budzą wśród historyków spore zastrzeżenia. Niektórzy wątpią, że fakt taki w ogóle miał miejsce. Informację o śmierci Anny zaczerpnięto bowiem z anonimowej kroniki rękopiśmiennej spisanej dopiero w początkach XVIII wieku, a więc w kilkadziesiąt lat po domniemanym fakcie – „Gdańskie historie od roku 1639 do 1680” („Dantziger Historien von Anno 1639 biss 1680”). Historyk M. G. Löschin, w wydanym w Gdańsku w 1837 roku opracowaniu „Przyczynki do historii Gdańska i okolic” („Beiträge zur Geschichte Danzigs und seiner Umgebung”), zacytował tę opinię jako wiarygodną, lecz w materiałach sądowych z tamtego czasu brak potwierdzenia przytoczonej relacji. Dodatkowo sprawę gmatwa wyrażna notatka, jaką sporządził na marginesie sprawy z 1647 roku rzetelny Georg Reinhold Curicke. Napisał wyrażnie, że po tej egzekucji nie ukarano w Gdańsku osoby oskarżonej o czary. „Od tego 1647 roku aż do czasów współczesnych (notatkę sporządził pod koniec XVII wieku) nie znajduję, aby jakaś czarownica czy czarownik zostali ujawnieni i ukarani”.

Uwaga jego dotyczyła, niestety, tylko samego Gdańska. Jeszcze w drugiej połowie XVII wieku w pobliskiej Oliwie stracono kilka kobiet oskarżonych o czary. Były to wieśniaczki. Najmłodsza, Anna, miała 26 lat. Przyznała się do kontaktów z diabłem Szymonem. Diabeł dostarczył jej czarnej, magicznej maści, dzięki której mogła ulatywać przez komin i bezbłędnie trafiać na nocne zgromadzenie wiedźm. Sabat czarownic odbywał się w tych okolicach na wzgórzach, być może w miejscu, gdzie dziś spoczywa diabelski kamień. Szatan zasiadał na tronie za stołem bogato zastawionym mięsem, rybami i winem, potrawy u szczytu stołu podawano na srebrnej zastawie. Ubogie czarownice musiały zadowolić się glinianymi miskami. Wydobyte na torturach zeznania Anny potwierdziła „współwinowajczyni”, wdowa Krystyna. Posądzona o konszachty z siłą nieczystą Krystyna, podczas przesłuchań przyznała się do obcowania z diabłem Janem, zauroczenia konia i uśmiercenia pieszka, któremu ukłóciła głowę. Po „badaniach”, polegających między innymi na pławieniu, kobiety zostały mimo „dowiedzio-



Szubienica na Targu Węglowym, który był jednym z miejsc egzekucji. W czasach, gdy powstawała rycina Willera (koniec XVII wieku), ta szubienica nie była już używana, pozostała jako przestroga

nej winy” „litościwie ścięte” na placu kaźni w Oliwie. Pierwsza na podest wstąpiła Krystyna. Kat chybił i silnym ciosem miecza głęboko ranił w plecy skazaną. Trafił dopiero za drugim razem. Anna miała więcej szczęścia – wystarczyło jedno cięcie. Ciała kobiet zostały następnie spalone na stosie. Podobny los spotkał także starą Urszulę, karczmarkę ze Straszyna. Przed kaźnią poddano ją próbie wody. Utrzymując się na powierzchni, skazała się na karę śmierci.

Pierwszym burmistrzem gdańskim, który otwarcie występował przeciwko procesom czarownic, był Gabriel Krummhausen. W 1662 roku, być może pod wpływem oliwskich wydarzeń, opublikował apel swojego autorstwa, ośmieszający wiarę w czary. Jako człowiek wykształcony, scholarza opiekujący się Gimnazjum Akademickim, wyraźnie potępił karanie śmiercią kobiet posądzonych o czary.

W drugiej połowie XVII i w XVIII wieku sprawy o przestępstwa „przeciw Bogu i religii” pojawiały się sporadycznie, choć moc swą w dalszym ciągu posiadały obowiązujące prawa (potwierdzone w 1761 roku), nakazujące karać nawet śmiercią za bluźnierstwo lub pozbawienie życia przy pomocy czarów. Mimo to, w okolicach Gdańska wciąż zdarzały się, i to wcale nierzadko, przypadki pochwylenia i uśmiercania czarownic. Wiosną 1706 roku spłonęła żywcem mieszkanka Dużego Garca. 30 sierpnia tego samego roku sąd wiejski w Rudnie wydał wyrok śmierci na trzy czarownice. Kobiety ścięto, a na stos powędrowały ich głowy. Stosy płonęły jeszcze długo: w Subkowach w 1723, w Skarszewach w 1727. Przyjmuje się, że we wsiach pod Gdańskiem procesy o czary pochłonięły w latach 1648-1727 jedenaście ofiar.

Do ostatniego na Pomorzu samosądu nad pomówioną o czary kobietą doszło

w 1836 roku. Ofiarą była jedna z mieszkańców wsi Chałupy, wdowa Krystyna Ceynowa. Inspiratorem mordu był znany miejscowy znachor, Stanisław Kamiński. Leczył on obłożnie chorującego rybaka, Jana Kąkola, a gdy terapia nie poskutkowała, oskarżył powszechnie nie lubianą we wsi Krystynę o rzucenie czaru na chorego. Kobieta, bita i głodzona, pod groźbami dalszych tortur przyznała się do winy. Podburzona ludność poddała ją próbie wody. Ponieważ nie utonęła – być może za sprawą rozłożystych sukien – uznano, że jest czarownicą, której szatan przyszedł z pomocą. Zatłuczono ją więc wiosłami. Przypuszcza się, że nieszczęsna wdowa zginęła opodal jednej z wydm nadmorskich, którą mieszkańcy Chałup nazywają imieniem czarownicy z dawnych legend Ortyszy. Sprawa odbiła się głośnym echem w okolicy, opisywały ją gazety. Wieloletnim więzieniem ukarano kilku najbardziej winnych rybaków, sam zaś Kamiński zasłużenie został skazany na dożywocie. We wsi powołano szkołę parafialną „dla podniesienia oświaty wśród ludu”.

Polska była krajem, w którym procesy czarownic osiągnęły wysoką liczbę. Przypuszcza się dość ostrożnie, że wykonano około 10 tysięcy egzekucji. Nieco spóźnieni wobec reszty Europy, nadrabialiśmy zapobiegliwie zaległości w tej materii przez cały wiek XVIII, gdy wszyscy już zapomnieli o tych niesławnych praktykach. Na tym tle wydarzenia w Gdańsku wydają się pozostawać na uboczu, choć przecież miasto z całą pewnością nie było prowincją ówczesnego świata, a silne wpływy niemieckie mogły spowodować, że zostałyby tu przeniesione nieczne doświadczenia tego kraju, przodującego w polowaniach na czarownice. Zdrowy rozsądek, który zazwyczaj cechował gdańszczan, sprawił, że szaleństwo, jakiemu uległo tyle światłych ludów, nie zdomowiło się w tych stronach, a egzekucje osób posądzonych o konszachty z diabłem należały do rzadkości. Zwłaszcza, gdy porównuje się je do mrocznych statystyk innych miast. ■

Wykorzystano

Rozenkranz E., „Gdańska archeologia prawna”, Gdańsk 1993.

Kledzik W., Podgórczyk S., „Wykonanie kary śmierci w dawnym Gdańsku”, Gdańsk 1954.
Kaczor D., „Władza i przestępcy – sankcje karne za przestępstwa kryminalne w wieku XVI-XVIII”, Gdańsk 1994.

Levack B. P., „Polowanie na czarownice w Europie wczesnonowożytnej”, Wrocław 1991.

Maineckie W., „Das Strafrecht der Stadt Danzig”, Marburg 1932.

Samp J., „Droga na sabat”, Gdańsk 1981.

Scena wymierzania kary przed gdańskim więzieniem. W tym więzieniu przetrzymywano i torturowano również osoby podejrzane o czary, rycina Willera





Wejście do restauracji „Ratskeller”
od strony Długoego Targu



Plan zmodernizowanej i powiększonej restauracji „Ratskeller” pod Dworem Artusa

Pod Dworem Artusa

Jak słusznie zauważa Jerzy Samp, Dwór Artusa był kiedyś najsłynniejszą w mieście gospodą. Karol Ogier porównywał go do gospody św. Gerwazego w Paryżu. Służył życiu towarzyskiemu miejscowych kupców i stanowił atrakcję dla przybyszów z zagranicy. Maria Bogucka zaznacza, że w Dworze podawano tylko piwo, a czasem małe zakąski, takie jak śledź, szprotki, ciasta i owoce w cukrze. To ona przytacza edykt Rady z XVII wieku, który świadczy o tym, że zabawy i pijatyki przekraczały nie rzadko granice przyzwoitości: „Zauważono i co dzień słyszy się, a także widzi na własne oczy we Dworze Artusa dzikie, brutalne i złe zachowanie się niektórych osób, pijaństwo, hałasy i inne nadużycia, przez co zarówno majestat boski, jak i ludzie są obrażani”.

W 1742 roku kilkadziesiąt firm kupieckich zwróciło się do władz miasta, aby w Dworze urządzić giełdę zbożową, a zrezygnować z jego funkcji jako miejsca życia towarzyskiego i rozrywkowego. Rada przystała na to z ochotą. Wyszynk i biesiadowanie przeniosło się do piwnic, choć nie wiemy, czy stało się to jeszcze w wieku XVIII, czy dopiero w XIX. Kiedy Daniel Chodowiecki pisze w swoim „Dzienniku podróży z 1773

roku”, że po przybyciu do Gdańska: „pozwoiliłem sobie na półtoragodzinny odpoczynek, po czym w piwnicy przy Długim Targu zjadłem obiad” (a podano mu pieczeń wołową), to nie mamy pewności, czy była to piwnica pod Dworem Artusa, czy jakiś inny lokal.

W każdym razie w 1881 roku krakowski profesor Stanisław Tarnowski mógł zanotować: „Piwnica, w której może kiedyś panowie radcy chowali wino, bo nazywa się »Rathskeller«, dziś bardzo porządna, gazem oświecona restauracja, jest najpiękniejszą knajpą na świecie. Ogromna, jest zwłaszcza bardzo malownicza. Nie ma ścian, tylko śliczne gotyckie sklepienie wyrasta prosto z podłogi, na niej leży; to spojenie, ten pęk, z którego rozchodzi się sklepienie i który zawsze wyrasta z filaru, tu opiera się na ziemi samej”.

Restauracja „Danziger Ratskeller” w takim kształcie, w jakim możemy ją obejrzeć na zdjęciach, powstała w latach trzydziestych XX wieku. Zamknięta została w marcu 1931 roku i poddana remontowi wraz z całym Dworem Artusa. Projekt przebudowy przygotował architekt Otto Frick. Jak zawsze w tym okresie podkreśla się zasługi gauleitera Forstera jako inicjatora tego przedsięwzięcia.

Modernizacja wymagała znacznych prac

budowlanych, gdyż pomieszczenia właściwej restauracji i pomieszczenia gospodarcze zostały powiększone o połowę. Aby to uzyskać do restauracji włączono siedem piwnic sąsiednich domów. Wszystkie piwnice musiały zostać pogłębione, gdyż chodziło o to, by sale miały większą wysokość. Restaurowano fundamenty samego Dworu, gdyż mury były zniszczone.

Pod halą gotycką Dworu mieściła się piwiarnia, do której można było wejść i od Długiego Targu i od ulicy Chlebnickiej. Pozostawiono oczywiście piękne, stare sklepienia krzyżowe. Drugim kompleksem w tych wnętrzach była wielka winiarnia, a kolejnym sala wielkiego mistrza. Na podłogach położono kamienną posadzkę, zawieszono żelazne, kute żyrandole, niektóre sale ozdobiono malowidłami, ściany przykryto boazeriami. Nad boazerią w sali wielkiego mistrza ułożono ceglana mozaikę, w suficie pokazano belki. Sporo było pomieszczeń gospodarczych: kuchnia i cukiernia, specjalny pokój do mycia naczyń, piwnica z winem i piwem. Sale restauracyjne były klimatyzowane.

Dwór Artusa został zrujnowany w 1945 r.

Plan i zdjęcia pochodzą z „Die Kunst im Deutschen Reich”, wydanej latem 1943 r.



Jedna z izb rajców



Wnętrze piwiarni





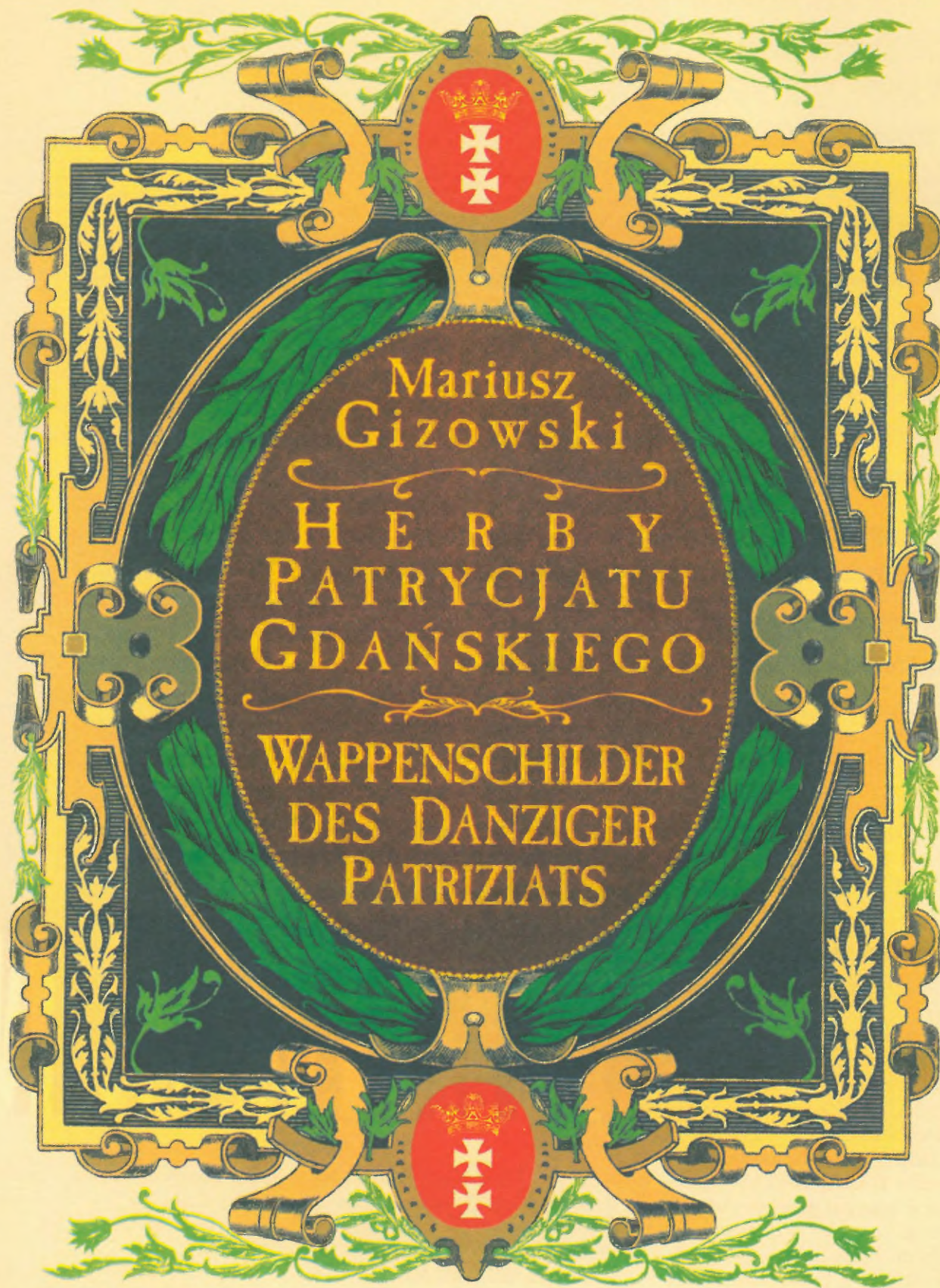
Wielka winiarnia



Wejście do restauracji „Ratskeller” od strony ulicy Chlebnickiej



NIEZWYKŁY...
NAJBOGATSZY HERBARZ GDAŃSZCZAN



KSIAŻKA W TWARDEJ OPRAWIE, NUMEROWANE EGZEMPLARZE,
736 STRON, ZAWIERA 341 HERBÓW

DO NABYCIA:
MILLENIUM MEDIA SP. ZO.O. – REDAKCJA „30 DNI”
GDAŃSKA KSIĘGARNIA NAUKOWA, GDAŃSK, UL. ŁAGIEWNIKI 5
FERBER, Sopot, ul. Bohaterów Monte Cassino 9

Ten wiatrak to twór niepowtarzalny w skali światowej. Bo czy ktoś widział jeżdżący wiatrak? Trudno dziś ustalić, czy Franciszek Kiwacz zbudował śrutownik czy młyn. A może napędzaną wiatrem młockarnię?

Aniela Nierzwicka ma dwięćdziesiąt siedem lat i mieszka u córki w Pogódkach na Kociewiu. Nie pamięta, kiedy urodził się jej najmłodszy brat, Franciszek Kiwacz. Umarł około pięćdziesiątego trzeciego. Dożył niewiele ponad czterdziestkę. To on zbudował ten wiatrak na kółkach. Ale po co właśnie taki?



Tekst: Tadeusz T. Gluszeko

RODZINA NIE TAKA, JAK INNE

Duży dom Kiwaczów stał w Więckowach na górze przy wyjeździe na Malary. Więckowy to kociewska wieś blisko Skarszew. Kiwacze mieszkali tam liczną gromadą. Ojciec miał osiemnaście morgów ziemi. Sąsiedzi mówili o nich „święci Kiwacze”, bo w jednej z izb urządzili sobie kościół. Niezupełnie taki jak parafialny w Pogódkach, ale prawie jak prawdziwy. W samej wiosce kościoła nie było. I tak w izbie stał paradnie wielki ołtarz, z którego spoglądali na Kiwaczów gipsowi święci, zaś w jego centrum znajdowało się tabernakulum z hostią umieszczoną w monstrancji. Hostia była nieprawdziwa, monstrancja drewniana, ale to nic. Na ołtarzu stały smukłe świece w wysokich lichtarzach, zupełnie jak w kościele. No i mieli w „ołtarzowej” izbie dodatkowo światło elektryczne. Jak ksiądz zapowiedział się z kołędą, trzeba było trochę pokręcić dyna-

WIATRAK NA

mem, żeby nazbierać prądu do akumulatora. Bo do wsi normalny prąd pociągnięto dopiero po wojnie. W drugim końcu izby stała fisharmonia.

To brat ojca Anieli, wuj Mateusz, zbudował ołtarz i zaprowadził elektrykę. Kochał też muzykowanie. Grał na takich instrumentach, jak fisharmonia, fortepian, harmonia, trąba, klarnet i flet. Miał je wszystkie u siebie. W przestronnym domu Kiwaczów wuj zajmował dwa pokoje. W jednym prowadził mały warsztat zegarmistrzowski,

drugi zajmowała kaplica. Zrozumiałe, że w całej okolicy nie było takich nabożeństw majowych i różańcowych jak u „świętych Kiwaczów”.

Franciszek od młodych lat co czwartą niedzielę prowadził różaniec dla kawalerów z Więcków i sąsiednich wiosek. Modlili się w udostępnionej im izbie szkolnej. „Miał mądrą głowę”, jak wspomina siostra. Szkół wyższych nie skończył, ale po wuju Mateuszu przejął zamiłowanie do techniki i muzyki. Dobrze grał na akordeonie. Musiał so-



W albumie W. Brzskowskiego i E. Zimmermanna pod fotografią znajdujemy taki podpis: „Ruchomy młyn wiatrakowy, którym jego właściciel Franciszek Kiwacz (Więckowy) objeżdżał pobliskie wsie i zarobkowo młolił zboże. Często z konieczności wiatrak zamieniał się na mieszkanie. Po dzień dzisiejszy najstarsi mieszkańcy okolic wspominają, że przejazd dziwnego wehikułu był dużym wydarzeniem. Ku ich radości często on sam siedząc na wozie, przygrywał na skrzypcach lub akordeonie, a kilkunastu chłopów robiło za konie, ciągnąc za liny Kiwaczowy domek. Fotografię wykonano w połowie lat trzydziestych XX w”.

Czy Franciszek rzeczywiście był mrukiem, jak o nim mówiono. Gdyby taki był, pewnie nie stanąłby pod wiatrakiem w takiej zawadiacko-marzycielskiej pozie. Gdyby zupełnie nie miał poczucia humoru, chyba zdjąłby ze sznura kalesony, koszulę, ręcznik i wiszące na drągu spodnie. Na kole wiatrowym widzimy zamocowane dwa płaty śmigieł, inne zajmują lewy dolny fragment fotografii. Rozwieszane na wiatraku pranie pozwala domniemywać, że Kiwacz niekiedy w nim mieszkał.

cjom wiatraków z bliskiego Kamierowa i Pińczyna. Były to typowe wiejskie koźlaki, całe z drewna. Podobno jeszcze po ostatniej wojnie przerabiały ziarno na śrutę i mąkę. Wszyscy tam jeździli. Czy Franciszek chciał otworzyć konkurencję? I dlaczego umieścił swój wiatrak na ruchomej platformie? Czy ten mruk i odludek – jak o nim mówiono – marzył, by jeździć po wioskach i świadczyć gospodarzom usługi młynarskie na ich własnych podwórzach?

Poza publikowanym tutaj zdjęciem nie zachował się żaden materialny ślad po Kiwaczu i jego wiatraku. Na miejscu jego mogiły na cmentarzu w Skarszewach pochowano już kogoś innego. Nie żyje nikt, kto umiałby o jego maszynie powiedzieć cokolwiek pewnego. Do lat powojennych zachowała się tylko podstawa wiatraka. Była to drewniana platforma zawieszona na szerokich kołach, które na zamówienie Franciszka wykonał kołodziej ze Skarszew. Jedyną fotografię wiatraka znamy z albumu Wiesława Brzskowskiego i Edwarda Zimmermanna „Skarszewy, Pogódki i Godziszewo na starej pocztówce i fotografii”, który wydało pelplińskie „Bernardinum” w 2002 roku.

Andrzej Grzegorzewski wie o Więckowach prawie wszystko. To on wy dostał od Nierzwickich fotografię Kiwaczowego wiatraka i przekazał ją Brzskowskiemu. Mieszka w tej wsi od urodzenia, od 1953 roku. Pamięta, że jako dziecko bawił się na platformie, która leżała bezpiecznie na pustkowi pod Głodowem. Sterczały z niej jeszcze resztki budynku. Dach pokrywały bodajże gonty. Pod dachem prawie na całym obwodzie polyskiwał wyszczerbiony świetlik w formie reliefu z kolorowych szybek. Budynek miał drewniany szkielet, do którego były przytwierdzone maty wykonane z warstwy splecionej słomy, jakich używano do budowy uli. Grzegorzewski nie zapamiętał jednak mechanizmu roboczego. Nie wie, czy był to mechanizm młockarni czy śrutownika, a może znajdowało się tam młynarskie złożenie kamieni. Zapamiętał jedynie coś, co mogło być wałem napędowym – „był wykonany z metalu i przypominał tylną oś samochodu”. Jest za to pewien, że nie było już koła wiatrowego, które widzimy jeszcze na zdjęciu. Nie pamięta też podczepianych pod narożniki podpór.

NA SWOIM

Franciszek budował wiatrak jeszcze u ojca na górcie. Kiedy skończył dwadzieścia lat, przeniósł się na oddzielony doliną przeciwnie kraniec wsi, pod Głodowo, gdzie kupił hektar ziemi. Uprawiał na nim kartofle, trochę buraków i brukiew dla dwóch krów. Według Anieli zaprzęgał te zwierzęta do pracy jak konie. Specjalnie dla nich zbudował chlew. Sam zamieszkał w drewnianym bara-

KÓŁKACH

bie nieźle radzić z tym instrumentem, skoro razem z bębniastą muzykował na weselu Anieli. Lubił, jak inni tańczyli, ale sam chętniej tylko przygrywał. W ogóle mruk trochę był i odludek. I nic dziwnego. Od najmłodszych lat męczył go reumatyzm i astma. I serce miał słabowite. Pewnie z tego powodu nie oglądał się za dziewczynami. Został starym kawalerem jak wuj Mateusz.

Co miesiąc Franciszek pobierał rentę. Jak na wiejskie potrzeby była dość wysoka. Aniela mówi, że to renta wojskowa, ale nie

bardzo pamięta, za którą wojnę i kto mu ją przyznał: Polacy czy Niemcy. Chyba za pierwszą, bo kupował z tych środków materiały na swój wiatrak, a zaczął go budować gdzieś w latach trzydziestych XX wieku.

PO CO WIATRAK?

Cały wiatrak Franciszek obmyślił sam. Młynarza ani wiatraczniaka w rodzinie nie było, żeby pomógł, a wuj Mateusz już nie żył. Nie można wykluczyć, że zanim zaczął budowę, dokładnie przyglądał się konstruk-

ku, który nazywał betlejemką. W tej betlejemce albo w szopie przy chlewie toczył drewniane elementy, z których składał popularne na wsiach kołowrotki do przędzenia wełny. Tokarnię napędzał pedałami. Trochę pomagali bracia. Oni pedałowali, on toczył. Kołowrotki sprzedawały się nie najgorzej. Czasami znajdował kupców na ule, które wyrabiał ze słomy. Sam utrzymywał pasiekę na pięćdziesiąt pni. Sprzedawał zatem i miód. Wkrótce po przeniesieniu się pod Głodowo, Kiwacz postanowił sprowadzić tam wiatrak.

W relacji siedemdziesięcioletniego Jana Fijała, który wiele lat mieszkał w Malarach na dwunastohektarowym gospodarstwie rodziców, przeprowadzka wiatraka spod Malarów pod Głodowo miała w sobie coś z festy-

Możemy się zatem domyślać, że lora wiatraka była wyposażona w jakieś hamulce.

Trudno uwierzyć, że Kiwacz zbudował ruchomy wiatrak tylko na potrzeby własnego jednohektarowego gospodarstwa oraz by wspomagać ojca. Nie zapominajmy jednak, że otrzymywał niemałą rentę i mógł sobie pozwolić na małe szaleństwo. Podupadający na zdrowiu mężczyzna sam nie dałby rady w wiatraku i musiał korzystać z pomocy. Jak mówi siostra, „zawsze ktoś mu zboże przyniósł, wysypali i w parę minut było zmielone”.

Nie można wykluczyć, że wiatrak Kiwacza nie napędzał młyńskich kół, ale młocarnię, bo jak wspomina Aniela: „u ojca maszyna młociła w trzy godziny, a wiatrak pędził w kilka minut”. Kobieta pamięta też, że wia-

choć usłyszeć o nich. W literaturze poświęconej młynarstwu i wiatrakom nie znalazłem jednak dotąd informacji o wiatrakach osadzonych na ruchomych platformach. Można zatem sądzić, że takie rozwiązanie wymyślił i zastosował tylko Franciszek Kiwacz z Więckowych.

WALI SIĘ

Co przetrwało do dzisiaj z przywołanego tu świata? Czy zachował się ołtarz wuja Mateusza? „Nie – mówi Aniela. – Jak się ożenił, wyrzuciliśmy go na strych, wszystko się teraz zapadło”.

Po gnieździe Kiwaczów pozostał rzeczywistość tylko zarys murów przyziemia. Od dawna nikt tam nie mieszkał, dom zawalił się i zo-



FOTO: ADRIAN GŁUSKO

Andrzej Grzegorzewski jest przekonany, że wiatrak stał na stropie Kiwaczowej piwnicy, w której obecny właściciel trzyma siano

nu ludowego: „chłopi z Więckowych ciągnęli wiatrak na linach, a Kiwacz siedział w środku i przygrywał im na skrzypcach”.

Aniela utrzymuje, że brat „na zarobek raczej nie miał, i po wsiach nie jeździł z wiatrakiem”, a jeśli już wykonywał jakieś usługi, to „za darmo ludziom miał na szrut, bo żył z renty”. Nie zaprzecza zarazem, że od czasu do czasu przewoził wiatrak z miejsca na miejsca, ale tylko między gospodarstwem a ojcowizną. Brał wtedy „od sąsiada Romka Buczkowskiego parę koni i jechał. W liny go nie ciągli. To było ciężkie. Jak z tej góry jechał, musiał hamować, bo by się przewrócił”.

trak dawał napęd „szrutokowi”. Według Grzegorzewskiego Kiwacz podłączał napęd wiatraka również do wirówki, w której robił dla siebie masło.

I tak pewnie było, że siłownia wiatraka została zaprojektowana w taki sposób, by mogła przekazywać napęd młocarni, szrutownikowi, złożeniu kamieni, może nawet wirówce do odciągania miodu z plastrów i czemuś tam jeszcze.

W centralnej Polsce obok wiejskich zabudowań jeszcze do niedawna można było spotkać niewielkie wiatraki dające napęd szrutownikom. Franciszek mógł je widzieć albo

stał rozebrany na opał. Zarosło dziczkami obejście Franciszka pod Głodowem. Solidnie wygląda tylko obłożona kamieniami piwnica, na której „święty Kiwacz” chciał wznieść dwupiętrowy dom, ale nie zdążył. Pewnej wiosny potrafił go koń sąsiadów, przewrócił się, dostał silnych napadów astmy i po kilku dniach zmarł w skarszewskim szpitalu.

Więckowski wiatracznik nie odszedł w wieczną niepamięć. Zapamiętają go ludzie interesujący się historią wiatraków. ■

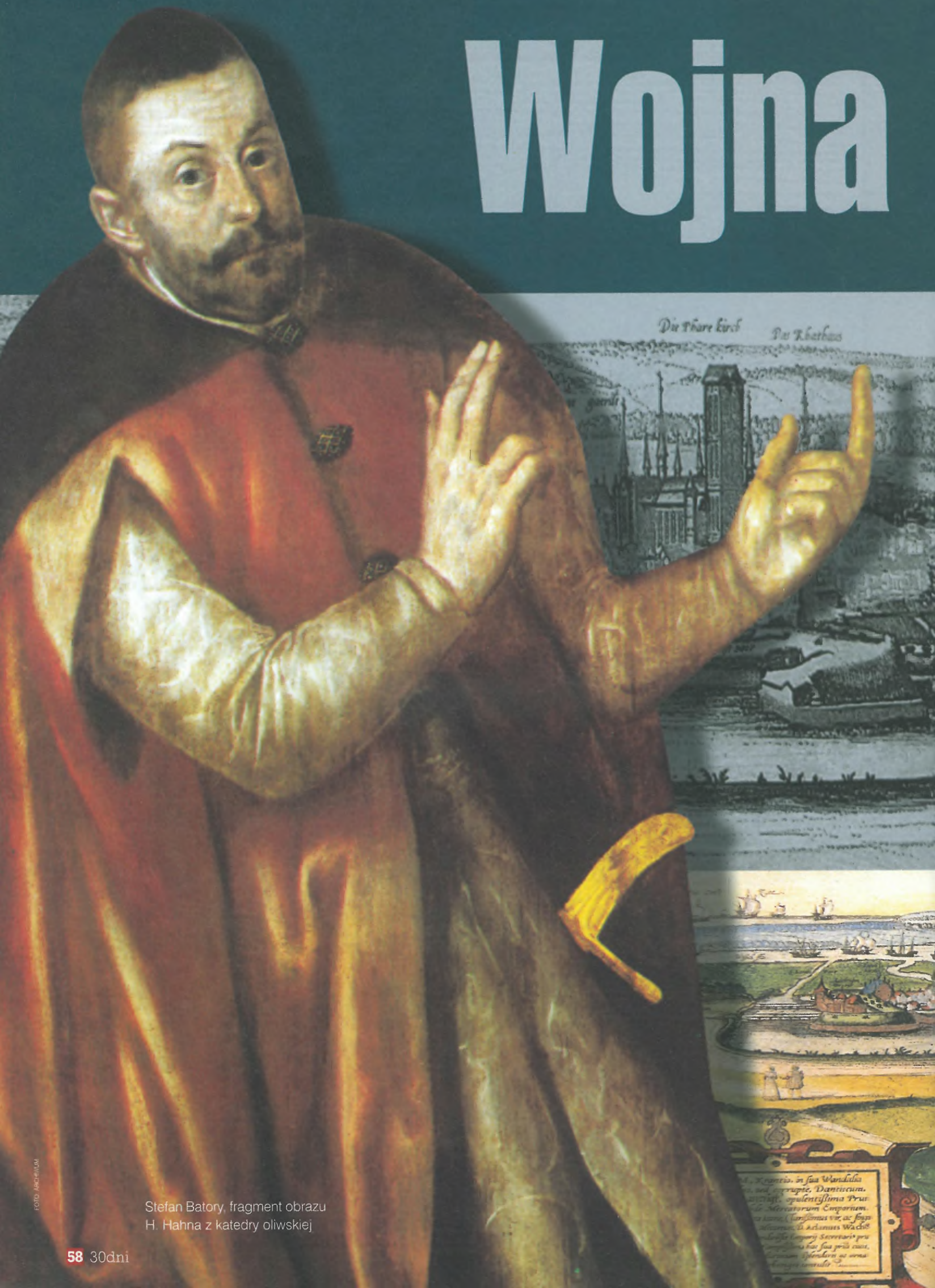
O wiatrakach pisaliśmy już dwukrotnie: w czerwcu 1999 roku i w marcu 2000 roku.



FOTO ZBIGNIEW WĄSANE

Stary młyn w Mikoszewie. rysunek Gustava Pfahla z lat trzydziestych XX wieku

Wojna



Stefan Batory, fragment obrazu
H. Hahna z katedry oliwskiej

miasta z królem

Tekst: Waldemar Borzestowski

„Nie w chlewie, lecz wolnym człowiekiem jam się urodził.(...) Wolność swoją kocham i będę jej strzegł. Z woli Bożej wyście mnie królem swym obrali, na wasze prośby i nalegania tu przybyłem, wyście mi koronę na skronie włożyli, jestem więc królem waszym, ale nie glinianym ani malowanym; chcę królować i nie ścierpię, by mi ktokolwiek grał na nosie!”.

Stefan Batory do posłów

Podwójna elekcja

Kiedy pierwszy nasz król elekcyjny, Henryk Walezy, w kilka miesięcy po koronacji opuścił Polskę, aby po śmierci swego brata Karola objąć tron Francji, szlachta dość długo czekała aż powróci. Wreszcie, w maju 1575, gdy tytułarny władca nie posłuchał wezwania senatorów i w oznaczonym czasie nie pojawił się w kraju, uznano, że tron Polski jest pusty i do wzięcia. Doszło do kolejnej elekcji. O monarszą władzę w Rzeczpospolitej zamierzało walczyć dwóch kandydatów – książę siedmiogrodzki Stefan Batory oraz cesarz Maksymilian II. Habsburga poparli niemal wszyscy biskupi, senatorowie litewscy i znakomita większość koronnych, posłowie litewscy i pruscy, a także najbogatsze miasto

– Gdańsk. Jego elekcja miała miejsce 12 grudnia 1575 roku. Niemieckiego cesarza okrzyknął polskim królem prymas Jakub Uchański, pośpiesznie odśpiewano w katedrze uroczyste „Te Deum Laudamus”.

Okazało się jednak niebawem, że olbrzymia większość szlachty koronnej nie zamierzała poprzeć tego wyboru. Znacznie bliższy był jej książę z Węgier. Zwolennicy Batorego działali energicznie, na elekcję Habsburga zareagowali szybko. Już dwa dni później, 14 grudnia 1575 roku, marszałek poselski Mikołaj Siennicki ogłosił władcę Siedmiogrodu królem polskim i wielkim księciem litewskim „pod warunkiem, że złączy się małżeństwem z Infantką Anną”, ostatnią z Jagiellonów. Entuzjastycznie poparła go grupa szlachty ze-

brana na rynku Starego Miasta w Warszawie. Władca z Siedmiogrodu został zaproszony do kraju, nie zamierzał się jednak spieszyć. Zanim wkroczył do Polski, musiał najpierw ułożyć sprawę swego księstwa. Wiosną przeszedł Karpaty i 23 marca 1576 roku wjechał uroczystie do Krakowa. Towarzyszyło mu pół tysiąca węgierskich rycerzy i doborowy oddział zahartowanych w bojach hajduków. 1 maja, wypełniając warunki umowy, Batory poślubił leciwą Annę Jagiellonkę i biskup Karnkowski mógł bez obaw włożyć na jego skronie koronę polską.

Gdański patrycjat od samego początku popierał cesarza Maksymiliana Habsburga. Z pewnością liczył na to, że wykorzysta moment słabości Rzeczpospolitej, aby rozszerzyć i tak niemałe przywileje miasta. Gdańsk spodziewał się, że cesarz nie będzie kontynuował niepopularnej polityki morskiej Zygmunta Augusta, ostatniego Jagiellona, i nie wprowadzi krępujących jego wolność Statutów Karnkowskiego. Wręcz żądał, aby nowy król zniósł nienawidzone „Constitutiones Carnecovianae”, które opierały się na założeniu, że Gdańsk jest częścią Rzeczpospolitej. Ich wypełnianie oznaczałoby w praktyce złamanie niezależności miasta. Odtąd bowiem jego burmistrzowie i rajcowie mieli składać przysięgę ▶

Panorama miasta z 1575 roku, miedzioryt F. Hogenberga



na wierność królowi i Rzeczypospolitej, zaś zwierzchnictwo nad morzem przysługiwać miało jedynie królowi, który nabywał prawo otwierania i zamykania portu. Bez jego zgody miasto nie mogło prowadzić wojny, a prokurator koronny mógł powołać każdego mieszkańca przed sąd królewski.

Delegaci Gdańska, klęcząc, odebrali Statuty Karnkowskiego z rąk Zygmunta Augusta 24 lipca 1570 roku, ale nigdy się z tym faktem nie pogodzili. Gdańsk chciał być złączony z Rzeczypospolitą, ale na innych zasadach, marzył mu się układ choć w części przypominający unię personalną. Tutejsze bogate mieszczaństwo liczyło, że cesarz, jako nowy władca Polski, spełni ich aspiracje, zapewni protekcję w walce z konkurencją obcych kupców, a także umożliwi zacieśnienie związków z miastami Rzeszy.

Batory i jego zwolennicy w dość krótkim czasie zdołali osiągnąć przewagę w kraju, ale Gdańsk, ufający w swą siłę, bogactwo i poparcie Europy, nie zamierzał ustępować. Do oporu zachęcał miasto poseł i wysłannik cesarski Kurbach, jeden z projektodawców niezrealizowanej ugody między Wiedniem

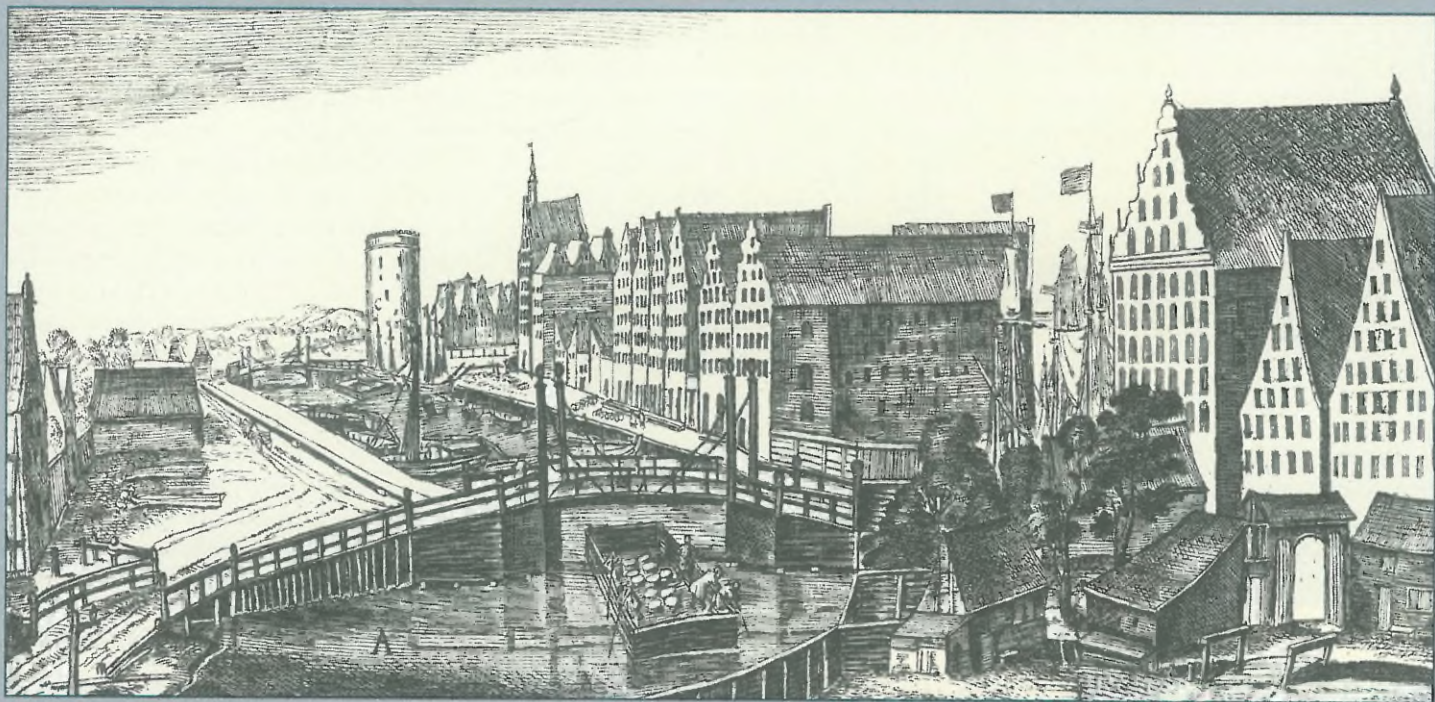
razila na to zgodę. 29 sierpnia wezwano starszych cechów do Ratusza, gdzie burmistrz Konstantyn Ferber wygłosił mowę dotyczącą elekcji obu kandydatów. Chociaż starsi cechowi zdecydowali się po krótkiej naradzie poprzeć kandydaturę Maksymiliana, to postawa Trzeciego Ordynku stanowiła dla Rady pierwszy sygnał, że ci, którzy mieli ponieść ciężar przyszłych działań wojennych, będą chcieli mieć wpływ na rządzenie.

Uroczysty wjazd króla Stefana do Torunia miał miejsce 27 sierpnia 1576 roku. Tu, na przełomie sierpnia i września, władca przyjął hołd od stanów pruskich, potwierdzając wszystkie przywileje tej prowincji. Batory wciąż miał nadzieję na pojednanie z buntownikami. Zdecydował się wysłać do Gdańska biskupa chełmińskiego Piotra Kostkę oraz wojewodę brzesko-kujawskiego Jana ze Służewa, polecając im, aby wezwali miasto do uległości i odebrali od niego przysięgę. Rada stanowczo odmówiła. Jej przedstawiciele buńczucznie zapowiedzieli, że król wcześniej musiałby potwierdzić wszystkie przywileje i wolności miasta. Był to jawny akt rebelii. Król zareagował natychmiast. 15 września wezwał

sto banicję. Powiadomił o tym stany pruskie: „Nie wątpimy, że wszyscy dobrze wiecie, z jakim zuchwalstwem i wściekłością postąpili sobie nasi nieposłuszni poddani, magistrat i ogół obywateli gdańskich, lekce sobie ważąc i poniżając naszą powagę królewską oraz zaniedbując należnej, jako ich królowi koronowanemu, wierności i posłuszeństwa względem królestwa i nas samych”. Dwa dni później wezwał stany pruskie do udzielenia zbrojnej pomocy. A Gdańsk szukał sprzymierzeńców w zaprzyjaźnionych miastach hanzeatyckich (głównie Lubece), u cesarza i w Danii. Obie strony zdawały sobie sprawę z faktu, że wszystko nieuchronnie zmierza ku zbrojnemu starciu.

Przygotowania

Król nie był przygotowany do wojny. We wrześniu 1576 roku miał zaledwie sześciuset pieszych hajduków, których przywiódł z Siedmiogrodu, tysiąc jazdy przybocznej, dowodzonej przez kasztelana gnieźnieńskiego Jana Zborowskiego oraz 2 590 żołnierzy koronnych. Razem stanowiło to około czterech tysięcy żołnierzy. Brakowało mu piecho-



W celach obronnych przekopano rów, który dał początek Nowej Motławie, rycina Dickmanna z 1617 roku

a Moskwą, na mocy której dojść miało do rzeczywistego rozbioru Polski. Koronę miała otrzymać Austria, Litwę zaś Moskwa.

Banicja

W połowie sierpnia, po odebraniu hołdu z ziem Korony, król ruszył na północ. W Gdańsku zawrząło. Wszyscy zdawali sobie sprawę ze zbliżającego się niebezpieczeństwa. 26 sierpnia Trzeci Ordynek, reprezentujący gdańskie mieszczaństwo, zażądał od Rady, aby powiadomiła wszystkie cechy o ostatnich wydarzeniach, gdyż dotyczą one wszystkich mieszkańców miasta. Rada wy-

miasto w osobach burgrabiego, burmistrzów, rajców, ławników oraz stu mężów z Trzeciego Ordynku przed swój sąd do Malborka. Postawiono im zarzut obrazy królewskiego majestatu. Termin sądu wyznaczono na 20 września 1576 roku. Jednocześnie wszędzie ogłoszono edykt monarchy, w którym przestrzegał, aby nikt „od tego czasu zboża i wszelkich innych rzeczy dalej Malborka i Tczewa Wisłą spuszczać nie śmiał, a ziemią także do Gdańska nie woził pod srogim karaniem”.

Kiedy w wyznaczonym czasie wysłannicy Gdańska nie pojawili się, 24 września 1576 roku Batory za zdradę stanu rzucił na mia-

ty i dział oblężniczych. Tymczasem Gdańsk był jedną z potężniejszych twierdz w Europie. Oslaniał go przemysłny system fos oraz wysunięte głęboko ku wrogowi ziemne szan-ce i basteje, a obronę ułatwiały korzystne warunki naturalne. Przygotowania do wojny szły tutaj pełną parą: umacniano wały, budowano nowe bastiony dla uzupełnienia fortyfikacji. Aby lepiej zabezpieczyć miasto przed spodziewanym atakiem od strony Elbaga, Rada kazała od wschodniej ściany spichlerzy przekopać głęboki rów, który wypełniono wodą. W ten sposób powstała Wyspa Spichrzów i kanał nazwany później Nową Motławą. Tuż

przed wybuchem wojny wzniesiono kilka bardzo nowoczesnych bastionów typu włoskiego z kazamatami. Wzmocniono również fortyfikacje potężnej twierdzy w Wisłoujściu, tak zwanej Latarni.

Miasto potrafiło w razie potrzeby zebrać dość liczne wojsko. Pod broń powoływano mieszczan. 149 rot miejskich, czyli 8 tysięcy uzbrojonych gdańszczan, całkowicie wystarczało do obsadzenia umocnień. Dzięki doskonałej sytuacji finansowej pozyskiwano najlepszych najemnych żołnierzy. W przededniu wojny Gdańsk przyjął pod swoje sztandary 4 tysiące żołnierzy – pięć chorągwi piechoty i dwie jazdy. Także artyleria miejska, licząca 65 sztuk dział mniejszego kalibru, prezentowała się całkiem znośnie.

Na dowódcę miejskiego garnizonu wybrano doświadzonego Hansa Winkelbrucha z Kolonii. Sprowadzono go z Niemiec, gdzie wstąpił się między innymi obroną Magdeburga w 1551 roku. Pomocą służyła mu rada wojenna złożona z dwunastu przedstawicieli miasta. Gdańscy wysłannicy docierali do wszystkich sąsiednich dworów, przekonując ościennych władców do swoich racji. Dzięki temu miasto mogło liczyć na pomoc króla duńskiego Fryderyka II, który pozwolił na zaciąg żołnierzy w swoim kraju, udzielił pożyczki w wysokości 20 tysięcy talarów, a także przysłał jednego z najlepszych swoich wodzów Klausego Ungerna. Liczna gdańska flota oraz flota sprzymierzeńców umożliwiały stały dowóz zapasów i posiłków do miasta.

Na wieść o decyzji królewskiej, dotyczącej banicji, doszło w Gdańsku do wystąpień antypolskich. Wzburzony tłum splądrował klasztory dominikanów, karmelitów i św. Brygidy. W ciągu kilku dni zamieszki ogarnęły tereny najbliższe miastu. Na zlecenie Rady, pod pozorem przygotowań do oblężenia, zdewastowano dobra kościelne klasztoru cystersów w Oliwie. Spalono pobliskie osady: Kolibki, Sopot, Gdino, Brzeźno, Zaspę. Ze względów taktycznych zostały doszczętnie zniszczone, położone na przedpolu miasta, wsie należące do biskupa i kapituły wrocławskiej: Stare Szkoty, Chelm, Biskupia Górka, Oliwa i Chmielniki. Spłonęły zabudowania Podgórze, Nowych Ogrodów, a nawet stacja pomp zasilająca miejskie wodociągi wodą z Potoku Siedleckiego. Wśród przygotowań do wojny toczyły się rokowania, których chyba nikt już nie traktował zbyt poważnie.

Pierwsze podejście

Plan działań przeciw zbuntowanemu miastu ustalono w Malborku podczas narady z podkanclerzym Janem Zamojskim, kasztelanem Janem Zborowskim i dygnitarzami ziem pruskich, którzy byli dobrze zoriento-

wani w miejscowych warunkach terenowych, stanie fortyfikacji miasta i jego przygotowań do wojny. Celem początkowych działań zbrojnych miało być nie tyle zdobycie



Burmistrz Konstantyn Ferber, miedzioryt z 1586 roku

cie twierdzy, co demonstracja potęgi polskiego oręża, aby skłonić miasto do uległości. W razie niepowodzenia tej operacji liczone było z koniecznością przygotowania w następnym roku kampanii, dla której trzeba będzie zebrać wszystkie środki materialne i wojskowe, jakimi dysponowała Rzeczpospolita. 25 września 1576 roku wojska królewskie wyruszyły z Malborka do Tezewa, nocą skierowano je na Żuławy Gdańskie. Do końca miesiąca zdobyto zameczek Grabina nad Motławą, kilkanaście kilometrów od miasta oraz szaniec Głowę (Haupt) w rozwidleniu Wisły i Wisły Elbląskiej. W ten sposób zablokowano gdańszczanom drogę wodną na Tezew i do Zalewu. W Grabinie Batory wydał pierwszy kaperski list upoważniający do zajmowania wrogich statków. Następnie król udał się do wsi Łostowice, aby osobiście przyjrzeć się fortyfikacjom miasta i jego położeniu. Przekonał się, że oblężenie będzie trudne.

Kiedy zawiodła kolejna próba układów, król wznowił 9 października wezwanie do stanów pruskich, aby gromadziły wojska, żywność i sprzęt. Miejscem koncentracji miał być Starogard. Wojska królewskie, dowodzone przez Jana Zborowskiego, po spuszczeniu Żuław cofnęły się do Tezewa.

Bezpośrednie zagrożenie miasta konsolidowało jego mieszkańców. 11 października Rada ponownie zgodziła się wezwać starszych cechowych. Rozpoczynająca się wojna wymagała znacznych środków finansowych. W mieście pojawił się okolicznościowy utwór „Der polnische Verstand”, który był

ostrą satyrą atakującą Polskę jako sojuszniczkę Turcji i wyśmiewającą zdolności bitewne polskiego wojska.

Tymczasem Batory nie próżnował. Udał się do Torunia, gdzie na 19 października zwołano sejm walny w sprawie gdańskiej. Obrady trwały niemal do końca listopada 1576 roku. Władca przekonywał posłów o pilnej potrzebie uruchomienia wojennej machiny i jak najszybszego ukarania buntowników. Króla popierał biskup kujawski Stanisław Karnkowski, autor statutów z roku 1569 roku, a także wojewoda sandomierski i podskarbi pruski Jan Kostka. Nie wszyscy jednak podzielali ten punkt widzenia. O porozumienie z miastem apelowało wielu dygnitarzy i magnatów, wśród nich wpływowy podkanclerzy Zamojski i potężny wojewoda krakowski Zborowski, którzy domagali się ugody. Takiemu rozwiązaniu sprzyjał fakt, że 12 października 1576 roku w Ratybonie zmarł drugi pretendent do tronu polskiego Maksymilian Habsburg. Odbierało to miastu formalną podstawę upor. Wojenne postulaty króla nie były przyjmowane z entuzjazmem, przeciwna wojnie była szlachta, obawiająca się utrudnień w handlu i zmniejszenia dochodów z folwarków. Szara szlachta nie bez racji przekonywała, że główny ciężar finansowy kampanii powinni ponieść ci, którzy często bezprawnie dzierżą bogate królewszczyzny, a nie płacą podatków.

Batory był wzbudzony postawą posłów, nie krył irytacji, ich postępowanie skwitował słowami pełnymi goryczy: „Złymi stróżami jesteście swojej wolności”. Koniec końców w Toruniu zdołano uchwalić jedynie potępienie gdańszczan za występowanie przeciw królowi oraz powołanie pospolitego ruszenia ziem pruskich, które było absolutnie nieprzydatne podczas oblężenia. Nie uzyskano zgody na podatek przeznaczony na zaciąg zawodowych żołnierzy.

23 października na sejm przybyli wysłannicy miasta z burmistrzem Konstantynem Ferberem i rają Jerzym Rosenbergiem. Patrycjat rozumiał, że w nowych warunkach, po śmierci Maksymiliana, trudno będzie udawać, że miastu chodzi o coś więcej niż własne przywileje i zamierzał próbować układów. Niestety, warunki, jakie przedstawiała strona królewska, były dla gdańszczan nie do przyjęcia i uniemożliwiły jakiekolwiek porozumienie. Władca żądał natychmiastowej przysięgi, rozbrojenia miasta, a zatem rozpuszczenia wojsk zaciężnych, zburzenia nowo wzniesionych fortyfikacji, wydania ośmiu dział i oddania twierdzy Wisłoujście. Gdańsk miał także zapłacić 300 tysięcy złotych polskich odszkodowania, przyznać królowi połowę dochodu z palowego (opłata za

cumowanie statków przy brzegu), a także ponieść świadczenia na rzecz przewidywanej wojny z Moskwą o Inflanty. Tak wygórowane warunki wstępne podyktowane przez króla muszą dziwić, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę sytuację, w jakiej się znajdował. Pod koniec października Batory dysponował zaledwie 3 tysiącami żołnierzy, którzy stali pod Tczewem, nie miał pieniędzy na dodatkowe zaciągi, na domiar złego zbliżała się zima, podczas której wszelkie działania obłąnne były utrudnione i kosztowne.

Twarda postawa króla zrobiła wrażenie



Stefan Batory, rycina książkowa

na przedstawicielach Rady. W mieście zawrzało. Patrycjat zaczął mówić o konieczności zawarcia pokoju oraz uchwaleniu podatku dla zebrania sum potrzebnych na przejednanie dworu. Tym samym wzmogła się nienawiść do tej grupy, która najpierw rozpętała wojnę, aby rozszerzyć swe przywileje, a teraz chciała się z niej wycofać kosztem mieszczaństwa i pospółstwa. Trzeci Ordynek jednogłośnie poparł twarde żądania cechów domagających się ustąpienia skompromitowanej Rady. Była to pierwsza próba odsunięcia jej od rządów. Po burzliwych naradach uznano postulaty króla za zbyt wygórowane i odrzucono je, nie rezygnując jednak z prób dogadania się, a przynajmniej udając, że wszystkim w mieście na tym zależy. Rokowania trwały cały styczeń. Batory zdecydował się znacznie złagodzić swoje stanowisko. Przedstawiono gdańszczanom nowe warunki. Tym razem żądano przysięgi, wydania dział i wysłania tysiąca żołnierzy na wyprawę przeciwko Moskwie.

Batory przebywał w Bydgoszczy, gdy pojawili się przed nim posłowie z Gdańska – wymienieni wcześniej Ferber oraz Rosenberg, a także syndyk Jerzy Lemke (Lembke) – którzy poinformowali króla, że i te propozycje zostały odrzucone. Rozzłościło to władzę. 11 lutego 1577 roku ponownie

rzucił na miasto banicję, zarządził konfiskatę towarów i majątków gdańskich na terenie Polski, a także ogłosił zakaz handlu z miastem. Od tej pory kupców zagranicznych i spław wiślaną kierowano do Torunia i Elbląga. W swoim liście do stanów pruskich Batory napisał: „Podają nadto w wątpliwość niezaprzeczone prawa królewskie myśląc o odrębności politycznej”, i dalej: „Nie pomogły im nic przez tak długi czas Nasze tak pilne napominania, posyłania i perswazje, i folgowania”. Król przekonywał: „Nie zdało się nam dalej z nimi w żadne traktaty wdawać, ale co innego przedsięwziąć”.

Batory nakazał pojmać i uwięzić posłów gdańskich, którzy – jako rebelianci oskarżeni o zbrodnię obrazy majestatu królewskiego – zostali pod strażą przewiezieni do odległej Łęczycy. W wydanej na sejmiki instrukcji z roku 1577 król następująco określił sytuację wewnątrz państwa: „Gdańszczanie, będąc pod posłuszeństwem koronnym, zбогaciwszy się, a prawie jako wieprze utoczywszy z majątności Korony, pany się poczynili, a nas pomamili, a już ci zaledwie rzecz samą, choć nie nazwiskiem, dowiedli tego byli praktykami swymi, że naszymi panami byli, ponieważ wszystkie zboża, towary, majątności dochodów naszych w ręku swych mieli, szacując to, jako chcieli”. Tym razem jego słowa odniosły większy skutek. Poparły go sejmiki i duchowieństwo, obiecywano pieniądze. Aby zdobyć fundusze na zaciąg wojska, król nie wahał się zastawić klejnoty koronne. 12 lutego rozesłano wici z żądaniem zebrania ochotniczych pocztów wyekwipowanych przez najbogatszą szlachtę. W Pucku, za sprawą starosty Ernesta Weyhera, tworzyło się drugie zgrupowanie wojska polskiego, obejmujące nie tylko siły lądowe, ale również składającą się z dziewięciu jednostek flotę kaperską. Tam skierowano zaciągnięte za pożyczone przez króla pieniądze oddziały piechoty niemieckiej i jazdy (razem około 1 400 żołnierzy).

Plomienie nad Oliwą

Tymczasem w Gdańsku patrycjat na próżno usiłował skłócić swoich przeciwników – cechy i Trzeci Ordynek. Na czele właściwego pospółstwa, rzemieślników i części kramarzy stanęli: rzeźnik Reinhold Möller oraz bogaty kupiec, lichwiarz, a także przedsiębiorca Kasper Goebel. Obaj demagogowie łatwo zyskiwali poklask tłumu, stale też oskarżali Radę o uległość wobec Polski. 15 lutego pospółstwo, ulegając antypolskim hasłom i wspomagane przez wojsko najemne, ochoczo przystąpiło do napadów na dobra biskupa kujawskiego. Splądrowano także klasztor w Oliwie, gdzie przepadła bezcenna biblioteka cystersów. Gdańszczanie jeszcze kilkakrotnie atakowali klasztor. Zdemolowano i podpalono wówczas całe

opactwo, zabudowania gospodarcze, a także kościół parafialny św. Jakuba. Polała się krew zakonników. Opat Kasper Geszkaw, ledwie zdołał uciec z życiem. Kiedy powiadomił o zdarzeniu przebywające w okolicy wojska królewskie, z odsieczą ruszył oddział prowadzony przez starostę puckiego, Ernesta Weyhera. Pomoc nadeszła, gdy gdańszczanie, po spustoszeniu i rabunku, zamierzali właśnie burzyć wypalone mury klasztoru.

Konflikt między miastem a królem zwołał nabierał charakteru międzynarodowego. 21 lutego królewskie okręty kaperskie schwytały koło Helu dwa okręty duńskie, konfiskując wieziony do Gdańska ładunek. Dla króla Dании Fryderyka II był to pretekst, aby wysłać na pomoc miastu jedenaście okrętów, które w początkach kwietnia 1577 pojawiły się na wodach zatoki rzekomo broniąc swobody handlu. Gdańszczanie wykorzystali ich obecność na nowe zaciągi, które przybywały do miasta, podobnie jak prowiant, drogą morską. Mimo to, wiosną 1577 roku w mieście dało się zauważyć skutki zastosowanych przez króla represji, powtórzonych dekretem z 7 marca. Nadzwyczaj bolesne okazało się zwłaszcza przesunięcie handlu do Torunia i Elbląga. Dobrym posunięciem Batorego okazało się również rozlokowanie wokół Gdańska obu grup wojsk polskich – Weyhera pod Puckiem i Zborowskiego pod Tczewem, zbyt małych, aby podjąć oblężenie, ale wystarczających, aby skutecznie niepokoić miasto i utrudniać mu próby aprowizacyjne.

Wśród kupców dało się zauważyć coraz silniejsze niezadowolenie z powodu przedłużającego się konfliktu, a rosnące z dnia na dzień wzburzenie biedoty skwapliwie wykorzystali delegaci pospółstwa. Wystąpili z gwałtownym atakiem na patrycjat, jego przedstawicieli oskarżono o nadużycia i zdradę, żądano wprowadzenia w życie administracji dóbr i dochodów miejskich, udziału w rządach, kontroli nad korespondencją miasta, kluczami do bram i pieczęcią miejską. Był to rodzaj przewrotu, którego celem było znaczne ograniczenie władzy patrycjuszowskiej Rady, a nawet zastąpienie jej Trzecim Ordynkiem. Nazbyt rewolucyjne żądania cechów nie zyskały jednak w pełni aprobaty jego przedstawicieli, którzy obawiali się dalszej radykalizacji żądań pospółstwa. Patrycjuszowska Rada świadomie grała na zwłokę, aby jednak nie rozjuszać buntowników zgodziła się na dopuszczenie przedstawicieli Trzeciego Ordynku do zarządu miasta, a zwłaszcza do kontroli nad finansami miejskimi.

Bitwa

Tymczasem pospółstwo miejskie żądało radykalnych działań, przerwania blokady miasta i uderzenia na dowodzone przez Jana Zborowskiego dość nieliczne zgrupowanie wojsk polskich pod Tczewem. Winkelbruch

i rada wojenna postanowili działać z zaskoczenia. W kierunku Teczewa ruszyła niemal cała armia Gdańska, sześć chorągwi lanc-knechtów (3 100 żołnierzy), 400 zaciężnych rajtarów i tyłuż miejskich, dwie chorągwie milicji oraz artyleria złożona z siedmiu dział i trzydziestu hakownic, zamontowanych na trzech wozach. Idący za armią tabor liczył 150 wozów. Siły te, około dziewięć tysięcy, miały wykonać czołowe uderzenie, podczas gdy dwustu dziesięciu strzelców, przetransportowanych na pokładach uzbrojonych w działa czterech statków wiślanych, miało na tyłach Polaków zdobyć Teczew. 6 kwietnia

hetman Zborowski tak podaje stan swych wojsk w dniu 17 kwietnia 1577 roku: „było usarzów 1132, kozaków 215, pieszego ludu 680, działek polnych 2, hakownic 27” – razem 2 027 żołnierzy. Trzon piechoty stanowili węgierscy hajducy. Uprzedzony przez szpiegów o trwających w Gdańsku przygotowaniach, Zborowski zawczasu wysłał ku miastu podjazdy kozackie. Dzięki nim natychmiast dowiedział się, że Winkelbruch zmierza w jego kierunku. Zwołano naradę wojenną i ustalono, że bitwę rozegra się w polu, podczas gdy Teczew, pozostający na tyłach armii, będzie się bronić siłami miesz-

mendą kapitana Schliefa. Zborowski natychmiast wydzielił trzydziestu Tatarów i trzydziestu Kozaków pod dowództwem Andrzeja Karchowskiego, wyznaczając im zadanie obserwowania wroga i w razie potrzeby uniemożliwienia mu próby desantu. 17 kwietnia o świtaniu Winkelbruch ruszył dalej w kierunku Rokitek, tam, nad jeziorem Lubieszowskim, doszło do walnej bitwy. Wódz polski doskonale wyzyskał ukształtowanie terenu i walory polskiej jazdy. I choć początkowo losy spotkania wydawały się przesądzone na korzyść gdańszczan, którzy mieli liczną przewagę, „poczęło się woj-



Bitwa Stefana Batorego z gdańszczanami, M. Bielski „Kronika Polska”

Winkelbruch dokonał przeglądu swoich oddziałów. Zamierzał na ich czele wyjść z miasta nazajutrz, w pierwszy dzień Wielkanocy, jednak gwałtowne załamanie pogody sprawiło, że armia wyruszyła w pole dopiero 16 kwietnia. Z olbrzymim entuzjazmem opuszczano miasto dwiema bramami, wszyscy byli pewni zwycięstwa. Równocześnie Wisłą popłynęły statki ze strzelcami. Ponieważ były szybsze od pieszych, musiały się zatrzymać na Wiśle o milę od Teczewa.

Stacjonujący w tym mieście Polacy byli mniej liczni od zdążającego ku nim przeciw-

czan, wspomaganymi przez stu piechurów i cztery działa. Tymczasem Kozacy poinformowali, że po przebyciu piętnastu kilometrów oddziały gdańskie zatrzymały się w Łęgowie, i tam bardzo silnie się zabezpieczyły przed atakiem. Nie mogąc liczyć na zaskoczenie przeciwnika, Zborowski nie zdecydował się na nocne uderzenie. Swoje wojsko wyprowadził na przedpole Teczewa do Rokitek i tam spędził noc z 16 na 17 kwietnia.

Dzięki wystawieniu posterunków na groblach przy Motławie, dość wcześnie zauważono zbliżające się gdańskie okręty pod ko-

sko Kolnowe sypać jak czarny las” (nazwane tak od Hansa von Köln, dowódcy gdańskiego), to bitwę rozstrzygnął frontalny atak ciężkiej jazdy polskiej, husarii. O śmierć otarł się podczas walki sam Zborowski. Bartłomiej Paprocki napisał o tym tak: „kula wielka uderzyła pod koń hetmański, aż się w koło obrócił; Zborowski zaraz z tego miejsca uskokczywszy krzyknął na rotę, aby się potykały”. W szeregach hetmana walczył i został w raporcie wymieniony młody porucznik, a przyszły hetman, Stanisław Żółkiewski. Klęska gdańszczan była abso-

lutna. Kiedy w ich szeregach wybuchła panika odwrót zamienił się w bezładną ucieczkę, bitwa w rzeź. Konnica polska ścigała ich aż do Pruszcza. Nikt nie brał sobie do serca rozkazu Zborowskiego, który polecił brać jeńców, trup ścieł się gęsto. O niezwykłym szczęściu mógł mówić sam Winkelbruch, który uratował się tylko dzięki temu, że swego konia ofiarował mu któryś z rajtarów. Hetman raportował do króla: „ich pobitych ludzi trudno wiedzieć, bo w pogoni różno je bito, a ktemu chłopstwo po lesiech, po górach, po wsiach, po stodołach bili (...), wszakże co na pobojuwisku dał schować według karbów, co przysiężeni ludzie karbowali, pochowano ich 4 416. Więźniów wszystkich, u żołnierzy polskich i węgierskich około 1 000. U szlachty okolicznej więźniów dosyć, których się jeszcze liczba wiedzieć nie może”. Trzydzieści siedem dział, sprzęt wojenny i tabor wpadły w ręce polskie. Siedem chorągwi „knecheich” oraz jedną „jezdna”, na której tkwiły wyhaftowane słowa „Aurea Libertas” (Złota Wolność), złożono u stóp zwycięskiego hetmana. Straty Polaków były minimalne, zginęło dziewięćdziesięciu czterech żołnierzy, nieco ponad drugie tyle było rannych, stracono sto trzy konie. O bitwie nad jeziorem Lubieszowskim słusznie napisał Paweł Jasienica: „Zwycięstwo odniesione w okolicach Tczewa, to jakby zapowiedź rozkwitu sztuki i techniki wojennej w Rzeczpospolitej”.

Klęska tak dotkliwa, a w dodatku absolutnie niespodziewana, wywarła ogromne wrażenie na gdańszczanach. Byli przerażeni. Strach ten zręcznie wykorzystał patrycjat i szybko przejął inicjatywę z rąk do niedawna buńczucznej opozycji. Natychmiast na całą ludność miasta nałożono obowiązek służby wojskowej, wprowadzono także rozmaite rozporządzenia natury policyjnej, aby zaprowadzić w mieście porządek, a przede wszystkim utrudnić wszczęcie jakiegokolwiek akcji przeciw Radzie. W atmosferze zagrożenia, 24 kwietnia, zwołano uroczyste zgromadzenie wszystkich ordynków i cechów, podczas którego patrycjat zdołał nakłonić zebranych do przysięgi, że wszelkie wewnętrzne spory na czas wojny zostaną zaniechane. Wzmocniwszy swą władzę Rada mogła powrócić do przerwanych rokowań z Batorym, a zyskując w ten sposób na czasie, podjąć kolejne zaciągi. Na próżno Zborowski zaraz po bitwie zachęcał króla do kontynuowania wobec miasta polityki siły, przekonywał, że skoro „już tak daleko ta sprawa z nimi zaszła, nie bawiąc się niczym innym lepiej serio z nimi postępować, a w takie je kleszcze ująć, jakoby już na potem nigdy W.K. Mości ani Rzeczpospolitej, by też najbardziej chcieli, takich trudności zadawać nie mogli”. Niestety, Batory, przebywający wówczas w Warszawie, w dalszym ciągu nie dysponował odpowiednimi środka-

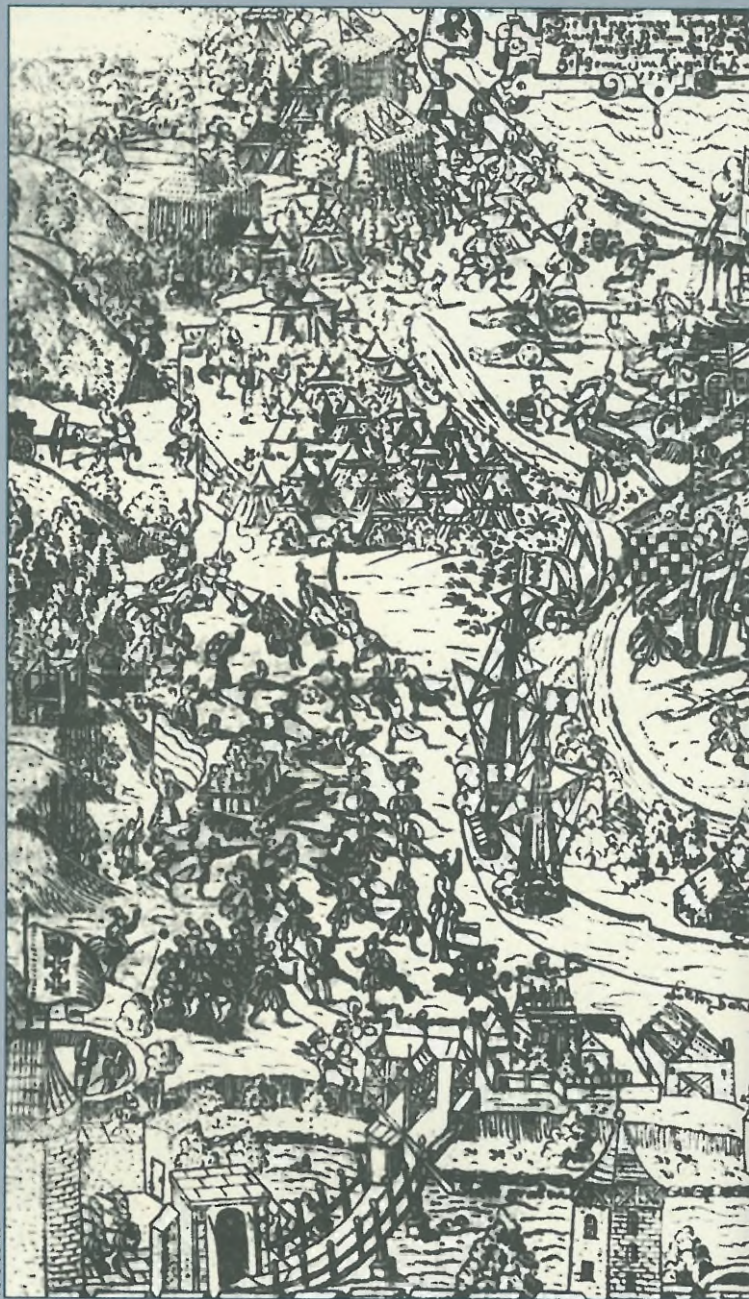
mi, aby rozpocząć regularne oblężenie. Nie po raz pierwszy w swej historii Polska, wygrywając bitwę, przegrywała wojnę.

Oblężenie

Po pierwszym szoku wywołanym klęską gdańszczanie przystąpili do uzupełniania strat i pozyskiwania nowych sojuszników. W ciągu maja i czerwca 1577 roku drogą morską przybyły posiłki, zwerbowane wyborowe oddziały niemieckiej, szkockiej, walońskiej i gaskońskiej piechoty. Odbudowany garnizon znów liczył 10 tysięcy obrońców. Nadal rozbudowywano fortyfikacje, umacniano wschodni odcinek Wyspy Spichrzów i Wisłoujście, wzniesiono nowe śluzy i usypano groble, rozlewając wody Motławy na przedpolu twierdzy. Zacieśniono sojusz z Danią, jej król nie tylko wspierał miasto finansowo, ale również utrzymywał na Zatoce swoją flotę. Broniła ona swobodnego dostępu do gdańskiego portu, a także zwalczała nieliczną polską flotę kaperską dowodzoną przez Weyhera. Podczas walki z królem mieszkańcy miasta zdecydowali się przekuć część sprzętów kościelnych na monety. Ten los spotkał kilkadziesiąt

srebrnych figurek apostołów i świętych z awersu wewnętrznych skrzydeł ołtarza Koronacji NM Panny z Kościoła Mariackiego, a także niezwykle cenny srebrny relikwiarz świętej Barbary. Z kościelnych sreber bito niezwykle dziś rzadkie szelągi, grosze, talary, półtalary i dukaty, które zamiast portretu króla na awersie przedstawiały postać Chrystusa i błagalny napis „Defende nos Christe Salvator”. Gdańszczanie nawiązali w ten sposób do starej, sięgającej czasów Bizancjum tradycji, kiedy to w okresach szczególnie trudnych na monetach pojawiał się wizerunek Zbawiciela.

Pomimo braku odpowiednich funduszy, Batory powoli rozpoczął przygotowania do oblężenia. Od 1 maja osobiście zajął się nową kampanią. Wojskowym przypomniano obowiązujące w armii polskiej artykuły: „Kto by kościół zrabował, śmiercią ukarany będzie, chociażby to było w nieprzyjacielskiej ziemi



Oblężenie twierdzy Wisłoujście przez polskie wojska w 1577 roku, sztych nieznanego autora

(...). Dziewczynę lub kobietę kto by zhańbił, ten karę śmierci poniesie, chociażby to było w nieprzyjacielskiej ziemi (...). W kraju nieprzyjacielskim nie wolno zabijać dziewczę, niewiast, dzieci i starców”. W drugiej połowie miesiąca monarcha przeniósł się do Malborka, który stanowił główną bazę zaopatrzeniową. Stąd można było drogą wodną spławiać ciężki sprzęt pod sam Gdańsk. Niestety, koncentracja wojsk polskich, a także werbunek nowych chorągwi postępowały bardzo wolno, ciężką artylerię musiano sprowadzić aż z dalekiego Tykocina. Dopiero 7 czerwca król ruszył do Tczewa (wraz z dwudziestoma dwoma działami), wyznaczonego jako miejsce grupowania się armii. Po przybyciu spod Pucka oddziałów Weyhera armia polska liczyła około 7 tysięcy jazdy i 4 tysięcy piechurów.

12 czerwca odbyła się narada wojenna, podczas której starły się dwie koncepcje prowadzenia działań zbrojnych przeciwko mia-



stu. Weyher i Zamoyski proponowali skupić się na zdobyciu Latarni i odcięciu Gdańska od morza, Zborowski na tradycyjnym oblężeniu, które w jego opinii miało doprowadzić niebawem do rozruchów w mieście i jego kapitulacji. Po namyśle król podjął oba zadania. Ponieważ jednak dysponował zbyt małą armią, zdecydował się blokować miasto jazdą, główne zaś uderzenie – przy użyciu piechoty – skupić na Latarni. 11 czerwca Batory stanął ponownie pod Gdańskiem. W pierwszej kolejności rozkazał, zmieniając bieg Raduni, odciąć miasto od zasobów wody pitnej i unieruchomić młyny. Dwa dni później wojska koronne przystąpiły do oblężenia, główne siły rozbiły obóz na wzniesieniach okalających miasto od zachodu. Jednocześnie Weyher ustawił pod Latarnią na zachodnim brzegu Wisły baterię złożoną z czternastu dział i rozpoczął silny ostrzał jej umocnień. Mniej szczęśliwe okazało się rozlokowanie reszty dział na Biskupiej Górze, były one za słabe, aby z takiej odległości prowadzić skuteczny ogień. Już po

kilku dniach zdano sobie sprawę z faktu, że tym sposobem nie nakłoni się miasta do ugody.

17 czerwca król ponownie zgodził się na podjęcie rokowań. Tego samego dnia przybyli do Gdańska wojewoda chełmiński Jan Działyński oraz sekretarze królewscy – Wincenty Oslicki i Krzysztof Rozrązewski, którzy zażądali spotkania z Radą i pospółstwem. Gdańczanie nie wyglądali na skruszonych. Na odejdnym wręczyli posłom obszerny dokument, będący zbiorem praw i przywilejów miasta, wyrażających jego stosunek do Korony i króla polskiego. W Grabinach, dokąd wycofał się król, odbyła się kolejna wielka narada wojenna. Batory, po doświadczeniach ostatnich miesięcy, był przekonany o konieczności posiadania własnej floty, która zdołałaby pokonać flotę gdańsko-duńską i skutecznie zablokować dostawy do miasta. Zadecydowano o potrzebie utworzenia w pobliżu Elblągu floty składającej się z dziesięciu statków. Król zamierzał uczynić z tego miasta port otwarty. Nad realizacją

tych zamierzeń mieli czuwać bracia Mikołaj i Andrzej Firlejowie, bezpośrednim zaś organizatorem floty został Piotr Kłoczewski oraz znani z wcześniejszej działalności kaperskiej kapitanowie – Maciej Scharping i Bartłomiej Beck. To wówczas powstał niezwykle interesujący plan przekopania Mierzei Wiślanej, pogłębienia Nogatu i skierowania nim głównego nurtu Wisły.

Czas rokowań, jak poprzednio, gdańczanie wykorzystali na sprowadzenie morzem dalszych posiłków. Zaraz po ich przybyciu, 28 czerwca, przerwali rozmowy i sami przystąpili do działań zaczepnych. W nocy z 2 na 3 lipca dokonali śmiałego wypadu spod Latarni. Ponad tysiąc niemieckich i szkockich piechurów z zaskoczenia zdobyło obóz Weyhera, zniszczyło szańce i uprowadziło czternaście armat. Wysłana z głównego obozu, złożona z jazdy odsiecz pojawiła się zbyt późno, dział nie odzyskano. Utrata ponad połowy artylerii i śmierć pięciuset piechurów przekreśliła na jakiś czas plany zdobycia twierdzy w Wi-

śloujściu. Pod wrażeniem tych wydarzeń król napisał: „Pokory żadnej po tych złych ludziach nie baczymy, owszem to widzimy, że nam dobrze strzelba responduje”.

W lipcu doszło w Gdańsku do ponownych zamieszek, tym razem z powodu braku chleba. W mieście wznosiła się drożyzna, brakowało pieniędzy, żywności, coraz cięższe, wręcz nie do zniesienia, stawały się obciążenia podatkowe. W porcie na Motławie panowała senna cisza.

Pod Latarnią

W początkach sierpnia wojsko polskie ruszyło ponownie pod Gdańsk. Obóz rozbito między Oliwą a Jelitkowem. Tym razem zamierzano cały atak skupić na twierdzy w Wiśloujściu. 7 sierpnia piechota Weyhera z całą artylerią – dwadzieścia dział – zajęła te same, co w lipcu, okopy pod Latarnią. Gdańczanie naprawili nadwątlone czerwcowo-lipcowym oblężeniem fortyfikacje twierdzy, jej załogę wzmocniono 550 piechurami, rozlokowano nowe działa, podwyższono zapasy prochu i kul, dostęp od wschodu zamknięto szańcem, obsadzonym przez zaciężne regimenty Szkotów i Gaskończyków. Obrońcy mogli liczyć na flotę. 11 sierpnia działa polskie rozpoczęły ostrzał, a choć gdańska artyleria nie pozostawała im dłużna, z wolna polska strona zaczęła brać górę. Aby osłonić się przed ostrzałem dział okrętów duńskich, piechurzy Weyhera wzniesli na brzegu morskim u ujścia rzeki potężny blokhauz. Kilku dniowa kanonada przyniosła rezultaty. 20 sierpnia zburzono wyniosłą basztę Latarni, znacznie skruszyły się mury twierdzy, zapalające kule zniszczyły drewniane części fortyfikacji. Zadecydowano się przystąpić do generalnego szturm. 23 sierpnia na ściągniętych z Pucka batach (typ łodzi morskich o jednym maszcie, używany do przewożenia towarów lub połowu ryb) przeprawiono tysiąc piechurów Weyhera. Ten desantowy oddział zdołał uchwylić wąski przyczółek między ujściem Leniwki, morzem i twierdzą. Jego położenie było jednak bardzo trudne. Od wschodu byli atakowani przez regimenty Szkotów, Gaskończyków oraz przysłaną im na pomoc chorągiew milicji miejskiej, od strony morza ostrzeliwały ich okręty duńskie, ogień prowadziły także działa Latarni. Skupieni na mizernym skrawku lądu Polacy, usiłowali wzniesić barykady z kamieni, aby osłonić się przed pociskami, ponosili jednak duże straty. Do zachodu słońca poległa ich niemal połowa. Uzupełnieni pod wieczór posiłkami w sile ośmiuset ludzi nie zdołali jednak powiększyć przyczółka.

Walka wzmogła się o świcie. Po przybyciu kolejnych oddziałów piechoty (250 żołnierzy) Polacy uderzyli, opanowali jeden z szańców i byli na rzut kamieniem do Latarni. Niestety, w tym samym czasie na odsiecz obrońcom przybyły znaczne posiłki

pod dowództwem samego Winkelbrucha. Wzmocnieni milicją miejską i dwiema armatami piechurzy szkoccy i Gaskończycy Jana Garon ruszyli do natarcia. Polacy, widząc przewagę wroga, wycofali się za swoją kamienną balustradę. Tam walka rozgorzała z nową mocą, była niezwykle zacięta, podczas niej padł ugodzony kulą między oczy Winkelbruch, ranny został również komendant Latarni, pułkownik Georg von der Schweinitz. Dopiero koło godziny siedemnastej obie strony dały za wygraną. Polacy, mimo że utrzymali pozycje na przyczółku, ponieśli ciężkie straty, poległo i potopiło się pięciuset ludzi, utracono dwie chorągwie. Przez następne dni kontynuowano działania zaczepne, polscy żołnierze umacniali pozycje. Aby zapewnić sobie z nimi stały kontakt, Weyher sprowadził z Pucka trzynaście łodzi, które zostały mocno powiązane linami i łańcuchami. W ten sposób powstał most, którego szerokość pozwalała trzem ludziom maszerować obok siebie. Tą drogą przeprowadzono na prawy brzeg osiem chorągwi zaciężnej piechoty (600 ludzi), która razem z oddziałem Weyhera, 28 sierpnia ponowiła bez powodzenia uderzenie na Latarnię.

W Gdańsku zdano sobie sprawę, że aby utrzymać twierdzę, należy koniecznie zlikwidować most, którym na przyczółek dostarczane były posiłki. Przez ostatnie dni sierpnia wznawiano ataki, których celem było zniszczenie pontonowej przeprawy. 29 sierpnia puszczono z prądem rzeki podpaloną skutą załadowaną słomą i drewnem, jednak czujni Polacy nie dopuścili do podpalenia mostu. Zadania zniszczenia mostu podjął się, żądając w zamian dwustu talarów, Holender Dirk Hendrich. Magistrat przyjął jego propozycję, oddając mu do dyspozycji dwudziestu strzelców, 50-lasztowy statek i kilka małych dział. 1 września ciężka skutą, pchana pomyślnym wiatrem, podpłynęła pod most, a zaokrętowani na niej strzelcy, nie zważając na ogień prowadzony przez Polaków, porąbali liny, porozrywali łańcuchy i połączone nimi łodzie spuścili z prądem do morza. Zwiastowało to rychłą klęskę oddziału desantowego. Odcięty od głównych sił, ponoszący codziennie w wyniku ostrzału ogromne straty, wkrótce złożył broń.

Wykruszenie się piechoty zmusiło Batorego do zaniechania dalszego oblężenia Latarni i Gdańska. 3 września król wraz z całą armią wycofał się w głąb kraju, pozostawiając małe oddziały we wszystkich ważniejszych miejscowościach, a silne garnizony w Starogardzie, Tczewie, Sobowidzu i oszańcowanym Pruszcze. A w Gdańsku narastające niezadowolenie ludności doprowadziło do ciągnących się przez cały wrzesień ostrych sporów między ordynkami, Radą i pospólstwem. Aby rozbić odradzającą się opozycję, Rada zdecydowała się przekupić rzutkiego

demagoga, przywódcę pospólstwa i cechów – Kaspra Goebela (inaczej Gobeliusza). W nagrodę za zdradę interesów ludu otrzymał niezwykle intratną dzierżawę mennicy miejskiej. Jako jej zarządca wsławił się, używając do bicia monet udoskonalonej prasy menniczej zwanej walcownią, a także nadużyciami, o które wkrótce został oskarżony.

W obronie Elbląga

Batory zamierzał na nowo podjąć oblężenie w dogodniejszym czasie. Jego nieobecność wykorzystali gdańszczanie, którzy od dawna zamierzali zemścić się na lojalnym wobec króla konkurencyjnym Elblągu. 10 września flota duńsko-gdańska pod dowództwem duńskiego admirała Eryka Munka, w sile dwudziestu okrętów z 2 500 żołnierzy na pokładach, wpłynęła na Zalew Wiślany, gdzie ściągająca kontrybucje z portów warmińskich. Nie była w stanie przeciwstawić się jej stacjonująca w Elblągu słaba flota polska, zorganizowana na zasadach kaperskich i dowodzona przez Bartłomieja Becka. Atak na miasto nastąpił 16 września. Gdańszczanie i Duńczycy uderzyli od strony lądu, a także Nogatem i Elblążką. Pożary wybuchły wewnątrz miasta, gdzie spłonęły składy drewna i spichrze, w których na szczęście niewiele było ziarna. Flota gdańska zagarnęła niemal bez walki okręty dopiero co zorganizowanej polskiej floty, po czym próbowała unieruchomić tutejszy port, zatapiając w Nogacie kilka jednostek obciążonych kamieniami.

Batory pośpiesznie wysłał miastu na pomoc trzystu piechurów dowodzonych przez Kaspra Bekieszę, „męża sławnego cnotą, pomiarkowaniem, ludzkością i doświadczeniem sztuki wojennej”. Śpieszące nocą rotę węgierskie obserwowały z niepokojem potężną łunę wiszącą nad Elblągiem, sądzono, że miasto już zostało zdobyte przez wroga. Mądrali zaatakowali prosto z marszu, zadając wrogom ciężkie straty. Gdańszczanie, przekonani, że oddział węgierskich hajduków stanowi przednią straż armii królewskiej, wycofali się na okręty. Mimo to eskadra Munka aż do końca września płałdowała wybrzeże Zalewu, docierając pod Królewiec.

27 września Rada Miasta, zdając sobie z sprawy z narastającego niezadowolenia ludności i chcąc uniknąć rozruchów, przyjęła nigdy nie wprowadzony w życie program reform administracyjnych ograniczających jej władzę. Dobrami i dochodami miasta miało zarządzać sześć urzędów, w których zasiadałoby po dwóch rajców i dwóch reprezentantów pospólstwa. Można przypuszczać, że w tym właśnie czasie przedstawiciele patrycjatu zasiadający w Radzie nadzwyczaj jasno zdali sobie sprawę z faktu, że dalsze przedłużanie wojny z królem może doprowadzić do utraty przez nich władzy i za-

częli przygotowywać rokowania. Wybrani z pospólstwa administratorzy nie zostali dopuszczeni do pełnienia swych funkcji. Rada zamierzała grać na zwłokę.

Rokowania

Wyprawa floty duńsko-gdańskiej była ostatnim działaniem zbrojnym podczas całego konfliktu. Obie strony wyraźnie były zmęczone wojną i dążyły do ugody. Gdańsk nie był w stanie przerwać lądowej blokady i ponosił ogromne straty z powodu przesunięcia handlu zbożowego do Elbląga. Wstrzymanie obrotów handlowych miasta, wzrastająca drożyzna, trudności z dowozem żywności, wydatki wojskowe, a nade wszystko radykalizacja żądań społecznych, skłoniły Radę do poszukiwania ugody z królem. Gdańscy wysłannicy wyruszyli do Malborka, gdzie przebywał monarcha, nie szczędzili podarków polskim wielmożom, magnatom i senatorom. Batory miał to skwitować powiedzeniem: „Kiedy ja strzelam ku nim ołowianymi kulami, oni odpowiadają złotymi”. Miasto zwróciło się o pośredniczenie w rokowaniach do książąt Rzeszy, a zwłaszcza Brandenburgii i Saksonii. Swoje usługi mediacyjne oferowali również królowie Danii i Szwecji, książę pruski Albrecht Fryderyk i inni. Ich posłowie niebawem przybyli do Malborka. Koronnym argumentem, ponieważ zmuszającym króla do podpisania ugody z krnąbrnym miastem, była wojna, która wybuchła na wschodnich rubieżach kraju. Wojska rosyjskie cara Iwana niespodziewanie wtargnęły na Inflanty i Litwę. Część wpływowych doradców króla, w tym także Zamoyski, uważała, że sprawy na wschodzie są bardzo naglące i trzeba jak najszybciej przerzucić tam wszystkie zgromadzone pod Gdańskiem siły.

Aby okazać swoją łaskawość, Batory pozwolił wrócić do Gdańska uwięzionym w Łęczycy posłom gdańskim. 12 grudnia 1577 roku, po miesięcznych rokowaniach, stawili się oni ponownie w Malborku. Tym razem w skład delegacji weszli, prócz Ferbera, Rosenberga i Lembkego, ławnik Ernest Kleinfeld oraz reprezentant pospólstwa Noetke. Wysłannicy miasta stanęli przed Batorym i prosili go o przebaczenie, złożyli mu hołd i przysięgę wierności. W zamian za przyjęcie do łask, miasto zgodziło się wpłacić do skarbcza królewskiego 200 tysięcy złotych (w ratach po 40 tysięcy w ciągu pięciu lat), zobowiązało się także 20 tysiącami wynagrodzić zniszczony konwent oliwski, rozpuścić zaciężnych żołnierzy, płacić należne władcy świadczenia, a także dostarczyć dział i amunicji na wojnę moskiewską. Batory zniósł nałożoną na Gdańsk banicję, odwołał restrykcje handlowe i cofnął areszt nałożony na gdańskie towary, przy czym również gdańszczanie zdjęli areszt z towarów należących do

miast, które stały po stronie króla (głównie Elbląga i Torunia). Monarcha potwierdził przywileje miasta i uznał wolność wyznania augsburskiego, co było ostatecznym zwycięstwem protestantyzmu w Gdańsku.

Wszystkie postanowienia ugody spisano w pięciu dokumentach królewskich, z których dwa noszą datę 12 grudnia 1577, a trzy następne 16 grudnia 1577 roku. Mimo zaproszenia, Batory zaniechał uroczystego wjazdu do miasta, a wysłał tam jedynie swoich komisarzy, którzy 16 grudnia odebrali od gdańszczan przysięgę wierności i byli uroczystie przyjmowani przez mieszczan. Miasto wyszło z konfliktu z nienaruszonymi przywilejami. W dodatku kwestie sporne –

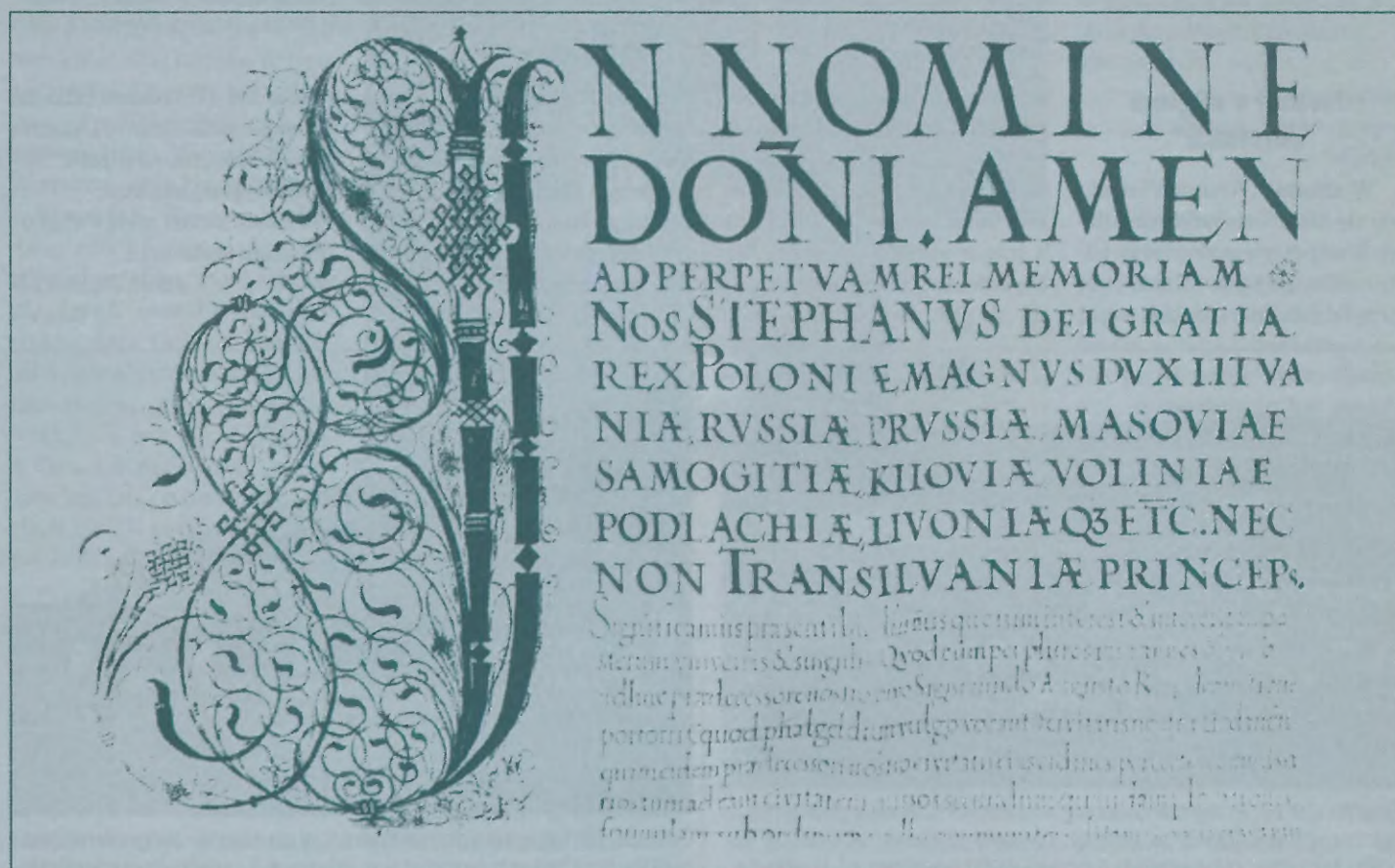
lenno króla polskiego, nie zaś Rzeczypospolitej. Stale potrzebujący pieniędzy Batory godził się na dalsze ustępstwa. W 1585 roku odmówił zgody na potwierdzenie układu między Elblągiem a angielską Kompanią Wschodnią, na czym od wielu lat zależało obawiającemu się tej konkurencji Gdańskowi. 26 lutego tego samego roku podpisał dokument zwany „Tractatus portorii lub układ o palowym” (niem. Pfahlgeldvertrag).

Przywilej raz na zawsze znosił statuty i nie tylko potwierdzał dawne, ale rozszerzał Kazimierzowskie przywileje. Był bardzo niekorzystny dla Rzeczypospolitej. Przewidywał podniesienie opłaty portowej o 100 procent, z dwóch do czterech denarów od grzywny to-

cję. Trudno mówić o większym zwycięstwie w jednej wojnie.

Odpowiedzialnością za odstąpienie od Statutów Karnkowskiego obarcza się za zwyczaj Jana Zamoyskiego, głównego doradcę króla, któremu zarzucano, że przyjmował od gdańskiego patrycjatu ogromne łapówki. Prawdopodobnie to on skłonił Batorego do rozmów z miastem. Ale czy zdołałby to zrobić, gdyby król miał odpowiednie środki, aby kontynuować oblężenie? Czy udałoby się odeprzeć doskonale wyposażone wojska cara Iwana, gdyby nie płynące z Gdańska strumienie gotówki? W starciu króla z miastem wygrał bogatszy.

Kiedy po latach i wielu bojach, 12 grudnia



Dokument przywileju palowego dla Gdańska, nadanego przez Stefana Batorego w 1585 roku

paląca kwestia poboru jednej drugiej palowego wraz ze sprawą uprawomocnienia i wprowadzenia w życie Statutów Karnkowskiego – pozostały otwarte. Odłożono je do najbliższego sejmu.

Bardzo smutny epilog

Nie czekając na postanowienia sejmu, gdańszczanie starali się na wszelkie sposoby pozyskać dla siebie króla i jego doradców. Zaangażowanemu w konflikt z Moskwą władcy dostarczali działa, proch i kule, udzielali też ogromnych pożyczek. Pewni jego poparcia odmówili izbie sejmowej prawa dyskusji nad Statutami Karnkowskiego, podkreślając, że tylko król jest władny decydować o sprawach miasta, co w konsekwencji miało oznaczać, że Gdańsk stanowi

waru. Co prawda, Gdańsk zobowiązał się wpłacać do kasy królewskiej połowę palowego, ale sobie tylko pozostawiał prawo do jego pobierania, zobowiązując się jedynie do przedstawiania królowi corocznych sprawozdań finansowych. W rękach gdańszczan pozostawała kontrola ruchu okrętów, prawo otwierania i zamykania portu. Dodatkowo król obiecywał miastu nie powoływać do swojej służby kaprów, a także nie nakładać na miasto i jego mieszkańców żadnych nowych opłat. Traktat unieważniał również wszystkie otrzymane od Rady nadania, które rzemieślnicy gdańscy uzyskali, gdy patrycjat zmuszony był sprzyjać ruchom pospólstwa. Zatwierdzał wyłączne prawo Rady do wydawania statutów i regulacji życia cechowego, a zatem przywracał miejskiej arystokracji jej pozy-

1586 roku w Grodnie zmarł po pięciodniowej chorobie król Stefan I, wykonanie królewskiej cynowej trumny zlecono gdańskim rzemieślnikom – konwisarzom. Prawdopodobnie wyszła ona z cenionego warsztatu Daniela Gieselera, o czym świadczyłaby umieszczona na niej sygnatura D.G. Należność za trumnę wyniosła pięćset florenów i skarb królewski wysłał ją do Gdańska przez kuriera wiozącego listy do Szwecji. Stamtąd też miał nadejść nowy władca Polski. ■

Wykorzystano:

Pawiński A., „Stefan Batory pod Gdańskiem w 1576-1577 r.”, Warszawa 1877, Lepszy K., „Stefan Batory a Gdańsk”, „Rocznik Gdański”, t VI, 1935.

30 dni LISTY



Foto str. 74-75: Na fotografii widać budynki przeznaczone dla 1. pułku huzarów, wzniesione w latach 1893-1896. Były one przeznaczone na mieszkania dla podoficerów i ich rodzin, o czym świadczą niewielkie ogródki widoczne w prawym, dolnym rogu zdjęcia.

Jeszcze o albumie „Wrzeszcz”

W albumie „Wrzeszcz” znalazło się kilka fotografii obrazujących zespół koszarowy przy ulicy Słowackiego. Chciałbym przedstawić kilka swoich uwag

z owymi koszarami związanych.

Zespół koszarowy znajdujący się w obrębie ulic: Słowackiego, Grunwaldzkiej, Szymanowskiego i Chrzanowskiego, składa się z trzech odrębnych części, ściśle związanych ze stacjonującymi w nich jednostkami armii

pruskiej. Każda z tych części powstała w innym okresie, aby po trzynastu latach budowy utworzyć zajmujący ponad 22 hektary kompleks wojskowy. Na marginesie, zachowany do dziś w znacznym stopniu.

Pierwszą wprowadzoną tu jed-

nostką był 17. batalion taborów, kolejną 1. pułk huzarów i ostatnią 2. pułk huzarów. Oba pułki tworzyły brygadę huzarów.

Przedstawiam moje uwagi do fotografii w albumie.

Jacek Dąbrowski
Gdańsk



Foto str. 78-79: Przywołany w podpisie (str. 77) barak z charakterystyczną przybudówką to solidny, ceglany budynek ujeżdżalni 2. pułku huzarów, o powierzchni ponad 1600 metrów kw! Pochodzi z lat 1900-1901.



Foto str. 78, fotografia dolna: Widoczny na zdjęciu budynek nie jest kuźnią, lecz jedną z pięciu stajni, któregoś z pułków huzarów (każdy z pułków dysponował taką właśnie liczbą stajni).



Foto str. 79, fotografia dolna: Budynek na niej widoczny był budynkiem przeznaczonym dla dwóch kompanii 17. batalionu taborów. Pochodzi z lat 1890-1893.



Foto str. 82-83: Widoczne na fotografii budynki wzniesiono w latach 1893-1896, a przeznaczone były na siedzibę sztabu pułku, na mieszkania podoficerów i ich rodzin oraz (środkowy budynek) dla żołnierzy dwóch szwadronów 1. pułku.

Widok z okna

Szanowna Redakcjo,

Jestem stałą czytelniką Waszego czasopisma od początku jego istnienia. Mieszkam w Gdańsku od urodzenia i bardzo lubię to miasto. Interesują mnie artykuły o dawnym Gdańsku i stare zdjęcia. Wasze artykuły tak pięknie opowiadają o historii tego miasta, że człowiek wdycha nawet za najgorszą ruiną, o której napiszecie, a której już nie ma. Nie wspomnę o pięknych budowlach, np. tych na ulicy Grunwaldzkiej. Łezka w oku się kręci, że tak niewiele z nich zostało. A jeszcze smutniej się robi, gdy popatrzę, co nowego projektują architekci (np. „Manhattan” we Wrzeszczu – bez komentarza).

Przesyłam Szanownej Redakcji widok z mojego okna. Patrząc przez okno, widzę zderzenie dwóch światów. Na lewo piękny stary Gdańsk: Politechnika, która miejscami wygląda jak zamek; małe domeczki, w których pali się w piecach, a dym z kominów leci jak za dawnych lat; ciasne uliczki, cegła, bruk. Na prawo PRL: nowe budynki Politechniki, betonowe, brzydkie, ponure – do-



wód na to, jak można zepsuć krajobraz. Sfotografowałam więc tylko lewą stronę, gdyż jedynie tam lubię spoglądać. Ten

widok jest naprawdę piękny. Szkoda tylko, że budynki te są od dawna nieremontowane. Handlowy Wrzeszcz nabyłby

dotychczasowych walorów turystycznych, gdyby o nie zadbanie.

Mam też pytanie do redakcji i do czytelników. Na pierwszym planie zdjęcia widać dom przy ulicy Łukasiewicza. Na jego bocznej ścianie widnieją zarysy starego napisu, chyba szyldu. Napis jest w języku niemieckim. Zawsze mnie intrygowało, co on oznacza. „G. Zobel” – nazwisko. Pod spodem „spedito-ur” – czy to jakaś firma spedycyjna? Reszty napisu w ogóle nie potrafię rozszyfrować, a ciekawa jestem, co mieściło się w tym budynku przed wojną. Może ktoś mógłby coś na ten temat napisać.

Z poważaniem
Dorota Zimmermann
Gdańsk

Od redakcji:

Rzeczywiście, nie będzie łatwo odczytać coraz mniej widocznego napisu. Udało nam się jedynie ustalić, że ulica Łukasiewicza nosiła przed wojną nazwę Zobelweg, a uczczono w ten sposób „spedytora” Zobla, który zmarł w 1921 roku. Z książki adresowej możemy się też dowiedzieć, że w 1939 roku przy Zobelweg 3 mieszkał G. Zobel, który zajmował się transportem mebli.

Fotoplastykon

Redakcja „30 Dni”,

Jestem stałym czytelnikiem pisma „30 Dni” i uważam je za bardzo potrzebne i interesujące. W ostatnim numerze na stronie 44 opisują Państwo kamienicę przy ulicy Grunwaldzkiej pod numerem 44. Ze swojego dzieciństwa (koniec lat pięćdziesiątych – początek sześćdziesiątych) pamiętam, iż właśnie w tej kamienicy znajdował się Fotoplastykon. Mój ojciec (kiedy mieszkaliśmy jeszcze we Wrzeszczu przy ulicy Lendziona) brał mnie czasami na spacer i po drodze zachodziliśmy do Fotoplastykonu pooglądać trójwymiarowe zdjęcia z całego świata. Nie pamiętam, niestety, ile kosztował bilet. Na zewnątrz pod ścianą były chyba dwa betonowe stopnie, na które dzieci mogły wejść i przez dwa

okrągłe mosiężne okulary (jak lornetka) obejrzeć jedno zdjęcie za darmo.

Może redakcja spróbowałaby dotrzeć do większej ilości informacji na temat tego Fotoplastykonu, chyba jest więcej mieszkańców Gdańska, którzy go pamiętają. Może żyje jeszcze jego właściciel lub jego rodzina? Chętnie przeczytałbym więcej informacji na ten temat.

Z pozdrowieniami
Wiesław Kwiatkowski
Gdańsk

Od redakcji:

Już kilkoro czytelników zwracało nam uwagę, że w tej kamienicy po wojnie mieścił się fotoplastykon. Ale nie dysponujemy żadnymi dodatkowymi archiwaliami, nie mamy też zdjęcia tego fragmentu Wrzeszcza z tego okresu.

Wojskowe poprawki

Szanowny Panie Redaktorze,

W trosce o prawdę historyczną pragnę sprostować nieścisłości, jakie pojawiły się w ostatnim numerze „30 Dni” (1/2003).

Na stronie 13 nad dolnym zdjęciem znajduje się podpis: „Uroczystość wojskowa przed budynkiem Strzelnicy, lata wojenne”. Podpis ten sugeruje, że fotografia przedstawia żołnierzy Wehrmachtu (sił zbrojnych). Jednak brak naramienników, orla po prawej stronie kurtek mundurowych i raczej średni wiek uczestników przekonuje mnie, że jest to formacja



policyjna (sądzę, że związana z więziennictwem).

Następna moja uwaga dotyczy artykułu p. Waldemara Borzestowskiego pt. „Piotr Wielki wizytował Gdańsk”. Otóż na stronie 54 jest napisane: „licząca 45 okrętów rosyjska eskadra, dowodzona przez komandora w stopniu kapitana, porucznika, G. Muchanowa, zacumowała w tamtejszym porcie (Königsbergu)”. Jest niemożliwym, aby Muchanow miał jednocześnie stopień komandora (ros. kapitan I rangi), kapitana mar. woj. (ros. kapitanleutnant) oraz porucznika mar. woj. (ros. starszijeitnant). Uważam, że prawidłowe tłumaczenie powinno brzmieć: rosyjska eskadra dowodzona przez kapitanleutnanta (kapitana mar. woj.) G. Muchanowa.

Z poważaniem
Lech Dmochowski
Szczecin



Po Gdańsk

Thomas Urban (rocznik 1954) pochodzi z Lipska, od 1988 roku pracuje dla „Süddeutsche Zeitung”, aktualnie jest korespondentem tej gazety w Warszawie. Jego propozycja „wędrowki przez dzieje polsko-niemieckie pisana była przez Niemca dla Niemców”.

„Publikacja przedstawia w porządku chronologicznym przede wszystkim ponure karty historii polsko-niemieckiej” – pisze we wstępie Urban. „Nie podjęto w niej jednak próby wzajemnego rozliczania krzywd. Mają one zostać nazwane po imieniu bez wartościowania”.

Wędrując przez dzieje polsko-niemieckie autor wędruje przez siedem polskich miast (Kraków, Poznań, Wrocław, Katowice, Łódź, Warszawa, Gdańsk). W każdym z nich „historia Niemców przebiegała w swoisty sposób”, a wszystkie one, „o ile już istniały, należały w średniowieczu do Polski, później wielokrotnie zmieniały przynależność państwową, a teraz znowu są polskie”.

„Przez całe wieki Gdańsk był kością niezgody między Niemcami i Polakami” – w ten sposób Urban rozpoczyna rozdział poświęcony naszemu miastu. Jego zdaniem „konflikt przebiegał pod znakiem nacjonalizmu, który zdominował nie tylko niemiecką, lecz również polską politykę, i nie można go było rozwiązać na drodze pokojowej”. Dziś Gdańsk jest „miejscem ważnych spotkań Niemców i Polaków i źródłem istotnych impulsów służących porozumieniu między obydwojema narodami”. Urban, ukazując historię Gdańska, szkicuje dzieje tego konfliktu.

Polskie wydanie tej pracy opublikowało warszawskie Wydawnictwo Polsko-Niemieckie.

Miasteczko na pocztówkach

Ciekawym zjawiskiem wydawniczym ostatnich lat są albumy poświęcone starym widokom miast, miasteczek, a nawet wsi, które ukazują się dzięki pasji i zaangażowaniu miłośników tych miejscowości. Zwłaszcza na Pomorzu nie możemy narzekać na brak takich publikacji. W tym nurcie mieści się album Wiesława Brzozkowskiego i Edwarda Zimmermanna, w którym pokazano stare pocztówki przedstawiające Skarszewy, ale też trochę Pogódkę i Godziszewo.

Książka, jak pisze Edward Zimmermann, „nie jest katalogiem wszystkich zgromadzonych

przez autorów widokówek z tamtego czasu”. Zaproponowany układ pozwala śledzić, jakie zmiany zachodziły w mieście w okresie, który był czasem istotnych zmian cywilizacyjnych i urbanistycznych.

Najstarsza odnaleziona przez autorów pocztówka z widokiem Skarszew, jeszcze litograficzna, pochodzi z lipca 1898 roku, najmłodsze w albumie są te, które wydano w latach II wojny światowej. „Aby uniknąć pocztówkowej monotonii publikację ubarwiają fotografie i przedmioty związane z życiem dawnych mieszkańców grodu nad Wietcią”.

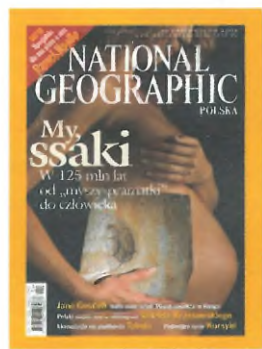
Autorzy przyjęli założenie, że „album ma być uzupełniony w następnych wydaniach i poszerzony o inne miejscowości gminy Skarszewy. Zapowiedzią tych za-



mierzeń są wybrane pocztówki z widokami Pogódek i Godziszewa pokazane w tym tomie”.

Album firmuje Wydawnictwo Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum”.

Huelle w „National Geographic”



Kwietniowy numer miesięcznika „National Geographic Polska” przynosi tekst Pawła Huelle poświęcony Sopotowi. „Panorama miasta z pokładu spacerowego statku albo z mola urzeka. Dachy, ulice i wieżyczki pną się do góry, a widok zamyka falująca linia

wzgórz. Gdy odwrócimy tę perspektywę, miasto wygląda jeszcze piękniej. Otwarte na zatokę, z widoczną w pogodne dni helską kosą i punkcikami statków – doskonale harmonizuje z pejzażem”. Tak zaczyna się opowieść.

Autor sugestywnie snuje dalej wątek opowieści o mieście, które z modnego pruskiego kurortu, przechodząc dość łagodnie czas zniszczeń wojennych, a potem czas „ducha socjalistycznej zgrzebności”, stworzyło nowe genius loci.

Dla Pawła Huelle, po wahaniu, ten genius loci ma coś z „czystego bałtyckiego postmodernizmu”, którego symbolem są Łazienki

Południowe. „Ich drewniany budynek w stylu norwesko-ludowym zaprojektował Niemiec Paul



Puchmüller w 1907 roku. Służyły prawie sto lat bractwu kąpielowemu, mocno podupadając w ostatniej dekadzie socjalizmu. Teraz, w hotelowo-restauracyjnej funkcji, prowadzą je Chińczycy, a na ich tarasie w letnie noce grają najlepsi polscy jazzmeni”.

Łazienka szuka

Centrum Sztuki Współczesnej „Łaźnia” organizuje projekt naukowo-artystyczny pt. „Łaźnia – miejsce między historią a współczesnością”. Jest on poświęcony zabytkowemu budynkowi dawnej Łaźni Miejskiej przy ulicy Jaskółczej 1 na Dolnym Mieście, który od 1998 roku stał się siedzibą Centrum. W ramach przygotowań do jednego z punktów projektu poszukujemy osób, które pamiętają wygląd dawnej łaźni, sposób jej funkcjonowania, mają jej stare zdjęcia.

Wszystkich, którzy byliby chętni podzielić się swoimi wspomnieniami, zapraszamy do CSW „Łaźnia” (ulica Jaskółcza 1) lub prosimy o kontakt telefoniczny: 305 40 50.



1986 – grupa młodzieży spędza wakacje z dziećmi z rodzin zaniedbanych, zawiązuje się „Rodzina Nadziei”



1990 – rejestracja „Rodziny Nadziei” jako fundacji, powstaje pierwszy „dom rodzinny” w Sopocie

Wyróżniona nagrodami:

- „Srebrna róża” – nagroda Saur Neptun Gdańsk w 1998 r.
- „Bursztynowy Miecz” – nagroda Wojewody Gdańskiego w 1994 r.
- „Feniks” – nagroda Wieczoru Wybrzeża w 1992 r.

Zrzeszona w:

- IFCO (International Foster Care Organisation) z siedzibą w Londynie
- EFC (European Foundation Centre) z siedzibą w Brukseli

Formy działania:

- rodzinne domy dziecka
- specjalistyczny „dom rodzinny” dla dzieci z problemami zdrowotnymi
- ogniska wychowawcze
- ośrodek rodzin zastępczych i adopcyjnych
- mieszkania środowiskowe
- turnusy rehabilitacyjne
- subkonta dla dzieci oczekujących na zabiegi
- imprezy dla dzieci, pikniki rodzinne
- aukcje, koncerty, imprezy charytatywne

Misją fundacji jest pomoc dziecku i rodzinie, poprzez prowadzenie prorodzinnych form opieki.



Nasze cele:

- Pomoc dziecku z rodziny patologicznej poprzez zapewnienie mu opieki w formach prorodzinnych.
- Umieszczanie dzieci pozbawionych rodziców naturalnych w rodzinach zastępczych, adopcyjnych i pogotowiach rodzinnych.
- Profilaktyka środowiskowa dla dzieci z rodzin dysfunkcyjnych poprzez prowadzenie ognisk wychowawczych.
- Poprawa stanu zdrowia dzieci z upośledzeniem fizycznym i psychicznym poprzez terapię i rehabilitację połączoną z hipoterapią.

Biuro Fundacji: ul. Grottgera 25, 80-311 Gdańsk, tel./fax 0-58 552-10-18

e-mail: rodzina@free.ngo.pl • www.free.ngo.pl/rodzina

Nasze konto: Kredyt Bank S.A. o/Sopot nr 15001706-121700011229



Dzielimy z Tobą sukces

Edukacja to inwestycja w przyszłość. To ciągle zdobywanie doświadczeń i pogłębianie wiedzy. Rozwój cywilizacyjny powoduje, że coraz cenniejsze stają się praktyczne umiejętności posługiwania się nowoczesnymi technologiami informatycznymi. Wiemy, jak ważne jest wspieranie młodzieży w dążeniu do ich rozwijania. Dlatego współtworzymy wydarzenia propagujące wykorzystanie nowoczesnych metod kształcenia. Wspieramy również wiele inicjatyw służących edukacji informatycznej. Jednocześnie, chcąc pomóc tym, którzy mają utrudniony dostęp do komputerów i internetu, angażujemy się w projekty, które ten dostęp ułatwiają. Pomagamy młodym ludziom rozwijać pasję, jaką jest informatyka i przyczyniamy się do kształtowania nowych pokoleń specjalistów w tej dziedzinie.

12 kwietnia br. w Sopocie odbędzie się **X Finał Ogólnopolskiej Olimpiady Informatycznej**, której Prokom Software SA od lat jest współorganizatorem. Młodzież ze szkół średnich rozwiązywać będzie zadania informatyczne, z którymi informatycy spotykają się na co dzień w swojej pracy. Wymagają one gruntownej wiedzy oraz wszechstronnych umiejętności z zakresu programowania. Uczestnicy olimpiady mają wolny lub ulatwiony wstęp na wyższe uczelnie.

PROKOM
SOFTWARE SA